BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		**Z przesyłką pocztową:**	
Rocznie . . (52 tomy)	rs. 10	Rocznie . . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	**rs. 6 kop. —**
Półrocznie. (za 26 tomów). . .	**„ 3 „ —**
Kwartalnie (za 13 tomów). . . .	**„ 1 „ 50**

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński

Dr. Julian Ochorowicz,

Julian Adolf Święcicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

1253

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 155.

Patryoci z zakątka

POWIEŚĆ CZESKA

Karola Rais'a

w przekładzie

J. Kietlińskiej-Rudzkiej.

TOM II.

Karel Rais.

Cena 40 kop.
W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.
Redakcya i Administracya
47. Nowy-Świat 47.
1900.

№ 25

Karol Rais.

PATRYOCI Z ZAKĄTKA

(Západli vlastenci)

POWIEŚĆ
CZESKA

W PRZEKŁADZIE

J. Kietlińskiej - Rudzkiej.

Tom II.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

25

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Октября 1900 г.

120154

Było w pół do dwunastej, gdy pomocnik zastukał do drzwi rezydencyi Pepiczki.

— Proszę, proszę dalej! — zawołała gospodyni i otworzywszy drzwi, żywo zaczęła: — Nareszcie pan tutaj, przed chwilą akurat wspomniałam, dlaczego pan tak długo nie przychodzi!—i ująwszy pomocnika za rękę, poprowadziła go do stołu. Albina zaczerwieniona kręciła się koło komina, niedaleko którego siedział Dolejsz.

— Jak się pan miewa!—witali przybyłego.

— Panie nauczycielu, proszę sobie usiąść, ot tutaj; niechaj pan zdejmie palto—mówiła Pepiczka, stojąc przed pomocnikiem. dopóki go nie zdjął.

— Tak, dobrze; a teraz niechaj nam pan opowie, gdzie pan był i co pan robił przez cały ranek?

Uśmiechając się z zakłopotaniem, Czermak opowiedział o wszystkiem, lecz opowiadanie jego podobne było do odpowiedzi nieprzygotowanego do lekcyi ucznia.

— Więc już nie tęskno panu?—spytała Pepiczka.

Roześmiał się i odrzekł z prostotą:

— Jeszcze trochę!

— Za babką, za dziadkiem, czy nie tak?

Pomocnik potwierdził.

Kościelny siedział i drzemał; zdawało się, że nic słucha, wtem naraz zapytał:

— A za ojcem, za matką nie tęskni pan?—i pogroził palcem Czermakowi.

— Stryju, pan nauczyciel stracił obydwoje, gdy był jeszcze małym chłopięciem—objaśniła Pepiczka.

— Tak. tak... to wielkie nieszczęście... biedaczysko! lecz... coś mi się tak zdaje... wczoraj opowiadałem panu preceptorowi o proboszczu Czermaku z Kostelca... czy to nie krewny pański?—i kościelny, podszedłszy do pomocnika, badawczo wpatrywał mu się w twarz swojemi małemi, ciemnemi oczami.

Z początku młodzieniec zdetonował się, później zaś, rzuciwszy nieśmiałe spojrzenie, z uśmiechem odpowiedział:

— Tak, to był brat dziadka!

— Brat!—klasnąwszy w dłonie, krzyknął kościelny i spojrzał na Pepiczkę.

— Brat!—powtórzyła Pepiczka, postąpiwszy parę kroków naprzód.

— A ja o nim opowiadałem takie rzeczy...—kiwając głową w zamyśleniu, przerwał Dolejsz.

— Ja z domu jeszcze wiedziałem o wszystkiem—dodał spokojnie Czermak.

— Wiedział, a ani jednem słowem się nie zdradził—odparł starzec, grożąc czerwonym, wskazującym palcem.

— Chciałem wiedzieć, co wy o nim będziecie opowiadać...

— Ja mówiłem prawdę...

Młodzian przyświadczył.

Siedział, z rękoma założonemi na kolanach i patrzył w ziemię.

W czasie tej rozmowy Albinka też stała ze złożonemi na fartuchu rękami i spoglądała na Czermaka.

— Jak mi Bóg miły!... więc i ta Liduna była jego powinowatą...

Pomocnik lękliwie kiwnął głową.

— Ale stryju kochany, pan nauczyciel przyszedł do nas na obiad, a wy go, jak żaka, egzaminujecie; zresztą to jest słabostką Dolejsza gawędzić o dawnych czasach i starych znajomych — przerwała Pepiczka, widząc, że pomocnik zamilkł.

— Rzeczywiście, kogo stryjek Dolejsz złapie, nie tak prędko puści—wtrąciła, śmiejąc się, Albina.

— A bodajcie, ty dzierlatko—odciął się staruszek. — Chciałem się tylko dowiedzieć, co się stało z Liduną z Kostelca, czy żyje i gdzie się obraca; mam ja w swej głowie spis wszystkich blizkich mi ludzi.—Mówiąc to. znów popatrzył na Czermaka.

— Umarła, w Pradze była w służbie, umarła i tam pochowana—odparł Czermak nerwowo.

— Biedaczka, maleństwo, tak zmarło się jej..... takie to było dobre, miłe, wesołe... istna różyczka... Niechaj im tego Pan Bóg nie pamięta, oni na niej popełnili grzech śmiertelny...—skłoniwszy głowę, mruczał wciąż ze smutkiem kościelny.

— Dolejsz, Dolejsz!—naraz dał się słyszeć z zewnątrz głos proboszcza i drzwi z trzaskiem się zawarły.

— Ksiądz proboszcz, ksiądz proboszcz!—powtórzył staruszek i co tchu zabierał się do wyjścia.

— Albinko, zajrzyjno do pokoju, czy dosyć tam ciepło, dołóż drzewa i nakryj do stołu — wydawała rozporządzenia panna Pepiczka.

Albinka przelotnie spojrzała na pomocnika i natychmiast zniknęła za drzwiami.

Panna Pepiczka kręciła się koło komina, jakby czegoś szukając; nagle podbiegła do młodziana, zatrzymała się przed nim i tkliwie wyrzekła:

— Panie nauczycielu, niechaj pan nie gniewa się na mnie, wszak ta Liduna była matką pańską...

Spojrzał na nią, w oczach coś mu zabłyszczało i wyrzekł ledwie dosłyszanym głosem:

— Tak...

Pepiczka położyła rękę na jego ramieniu i patrząc łaskawie na niego, zaczęła opowiadać:

— Myśmy z żoną nauczyciela jak dwie siostry; myśmy widziały, że pan wciąż milczący, smutny, więc żal nam pana było. Kantorowa opowiadała mi, że pan ma portret matki i że matka umarła w Pradze w służbie... zaraz mi więc przyszło to na myśl. Tylko proszę, niechaj panu nie będzie przykro, że się tak wypytuję, niechaj mi pan wierzy, nam przeokropnie żal pana...

Uśmiechając się z wdzięcznością, Czermak pokiwał głową.

— Gdyby ona żyła, wszystko poszłoby inaczej i ja napewno mógłbym się dalej kształcić... i wszystko... wszystko...

— Dosyć, dosyć, przestań pan, panie nauczycielu, niechaj Bóg da jej światłość wiekuistą. Zresztą Bogu samemu najlepiej wiadomo, po co ją do siebie powołał. Proszę też i o to pana, może pan się czem trapi, to niechaj pan w sobie tego nie tai, przecież i my wiemy, co to smutek. Co tam pani kantorowa... i ja też zostałam jedna, jak palec!... A teraz chodźmy do pokoju, ksiądz proboszcz zaraz pewnie przyjdzie i będziemy obiadować.

Poszła naprzód, pomocnik za nią; w sieni otworzyła drzwi, prowadzące do dużego, jasnego pokoju i stojąc z boku, zapraszała Czermaka:

— Proszę dalej, proszę!

Pomocnik wszedł, a panna Pepiczka pobiegła z powrotem do kuchni.

W pokoju Albina kręciła się koło stołu, rozstawiając nakrycia.

Czermak stanął pod oknem i patrzył na nią. Tak mu było strasznie, dziwnie, że drżał na całem ciele.

— Pan wciąż taki smutny—zaczęła Albina, nie patrząc na niego.

Milczał, rozmyślając, jakby najprędzej i najlepiej odpowiedzieć.

— Niechaj pan siada, panie nauczycielu—ciągnęła dalej, przystawiając krzesło ku oknu.

— Bardzo dziękuję—cicho odpowiedział i usiadł.

Skończywszy nakrywać, Albina zatrzymała się przy stole i, patrząc na pomocnika, z naciskiem wyrzekła:

— Niechże pan tak nie tęskni!—i jak błyskawica, wybiegła z pokoju.

Przez chwilę cały pokój kręcił się wraz z pomocnikiem. Czuł w całym sobie dziwny jakiś dreszcz, w którym się mieściło uczucie strachu, upojenia, smutku i bojaźni. Przychodziło mu na myśl wyskoczyć teraz przez okno i biedz hen, daleko, na góry, na lasy, gdzieby mógł dać pełną swobodę wątkowi swych przeróżnych myśli...

Pokój był wybielony i bardzo czysto utrzymany. Na środku stał nakryty stół, pod ścianą świeżo i czysto zasłane łóżko, obok sofa zielono obita, dalej komoda, naprzeciwko duża, żółta skrzynia, stary, czarny klawikord i parę półek z książkami, pod oknem od podwórza schodki z kwiatkami. Na ścianach wisiały duże obrazy Ukrzyżowanego, Maryi Panny i dwa stare w czarnych ramach portrety, niewielki portret kralowehradeckiego biskupa Hahnla, podobizny Czelakowskiego i Kollara; na komodzie stał krucyfiks z dwiema świecami po bokach.

— Witam cię, Słowianinie!—zagrzmiał donośny głos proboszcza, rozbudzający pomocnika z zadumy.

Wstał szybko i uścisnął wyciągniętą ku sobie rękę.

— Tak, ot tutaj cała moja literatura — zaczął proboszcz, wskazując na książki... no, klawikord do-

syć stary, pamiątka Pepiczki. A tutaj mamy Palacky'ego, sprawozdanie z działalności Czeskiego Muzeum i wydawnictwa naszej „Macierzy Szkolnej"... piękne, cenne rzeczy... przychodź i czytaj, przyjacielu; wszystko idzie nieźle. Muzeum musiało powiększyć nakład swych sprawozdań i prac; wychodzi od roku zeszłego cztery razy na rok, bo też nasz Szafarzyk prowadzi to wszystko, aż miło patrzeć... Tutaj znów szereg pism, poezye, nauka... wszystko! Mamy w Pradze stowarzyszenie „Stálci,"[1]) które wydaje specyalnie naukowe dzieła... (proboszcz podniósł palec do góry i badawczo spojrzał na Czermaka swojemi niebieskiemi, szeroko rozwartemi oczami) ściśle naukowe, klasyczne rzeczy... cóż pan na to powie?—i sam wesoło zaczął się uśmiechać.—Musimy się trzymać, trudna rada; ba, teraz nawet już i Baskowie dopominają się o swe prawa i przypominają, że egzystują, a my tylko, prastare plemię, mamy się próżniaczyć? Przecież to może wszystko zmieni się na lepsze,.. Czeski język coraz więcej zyskuje sobie praw obywatelstwa w naszych szkołach, na literaturę również Niemcy zwrócili uwagę... „*Ost und West*"... „*Augsburger Allgemeine Zeitung*"... Szafarzyk dobrze im dowiódł jacyśmy i co warci jesteśmy.

Palacky pisze historyę Czech, teatr zaczyna się rozwijać, śpiewają już w towarzystwie czeskie pieśni; cóż, czy wybraliście z kantorem śpiewy chóralne na naszą „besedę[2])."

— Jeszcze nie; pan nauczyciel powiedział, iż się do tego zabierzemy z początkiem nauki szkolnej.

---

[1]) „Stalci" stowarzyszenie, powstałe w latach czterdziestych, według planu Amerlinga (1844—1845).

[2]) Beseda—wieczorki muzykalno-deklamacyjne; „besed." oznacza też taniec czeski.

— To dobrze, to bardzo dobrze. Śpiewników jest wiele—mamy przecież Jelena, Tomaszka, Veita, Szkroupa, Rużniczkę i tylu innych? A cóż mówić dopiero o naszych śpiewach kocielnych. Wszak Luter je przekładał, a Sebastyan Bach zapożyczył od nas staroczeską pieśń „Na krzyżu dla nas rozpięty." Ślicznie zaśpiewamy; jest nas trzech, na czwartego weźmiemy Adama Hejna...

Pepiczka przyniosła garnek z zupą i łyżką wazową rozlewała ją na talerze.

— Wielebny panie, proszę usiąść, niech pan nauczyciel siada—zapraszała.

— Chodź, Franciszku, chodź! Ja tu siadam, ty obok mnie.

Albinka również przybiegła, a za nią przykolibał się kościelny.

— Prędzej, prędzej, dziadziu, bo wam wystygnie—wołał proboszcz.

— Nie mogę, wielebny panie, biegnąć tak, jak ta sroczka; jednocześnie wyszliśmy z kuchni, a ona o pół godziny mnie wyprzedziła. Czyż można porównywać me nogi do jej; ona lekka, jak piórko; moje buty podobne są do okrętów, a jej trzewiczki do łupiny orzecha.

— Już dobrze, już dobrze! Ot, lepiej przestań mówić, pomódl się i jedz z Bogiem.

I proboszcz rozpoczął modlitwę przed jedzeniem.

Pomocnikowi w czasie tej modlitwy różne myśli grzeszne snuły się po głowie; to srebrna piszczałka, to trzewiczek, jak łupina; chciał je odpędzić od siebie, ale nie mógł. Siedział ze spuszczoną głową, mając Albinkę vis-à-vis, a kościelnego po prawej stronie.

— Jedz, młodzieńcze, jedz!—zachęcał kapłan.

— Życzę dobrego apetytu! — szepnął Czermak i zaczął jeść.

Proboszcz jadł szybko, w trzy minuty talerz z zupą był opróżniony: pomocnik, dmuchając, jadł wolno, z oczami w talerz wlepionemi; kościelny chlipał bardzo głośno; Albinka nabierała po pół łyżki zupy i swemi błękitnemi oczyma spoglądała to na jednego, to na drugiego.

— Ten Adam Hejn będzie śpiewał pierwszym tenorem, pan drugim, my zaś z kantorem basem. Znasz Adama?—pytał proboszcz.

Pomocnik zaprzeczył ruchem głowy.

— To stary, dobry muzykant, a jaki filut! — czyż nieprawda, dziaduniu?

Kościelny prędko przełknął i potakiwał: — Tak, tak, dzieciom urządza różne widowiska, a starcom czytuje książki, wypożyczone od księdza proboszcza, lub ze szkoły. Lepszy z niego lektor, niż szewc; szewctwem zajmuje się tylko z konieczności.

— Ułożymy piękną „besedę," niechże i nasi ludzie usłyszą coś porządnego; przyjdą uczniowie, mamy tu śpiewaka, a i Albinka musi coś zadeklamować!

I proboszcz radośnie tarł ręce.

— Ja, wielebny panie? — uśmiechnięta zapytała ze zdziwieniem.

Pomocnik zauważył wtedy trzy wdzięczne dołeczki na jej twarzy: — dwa na policzkach, jeden na brodzie.

— Ja? ja? no, przecież nie ja — mówił kapłan. My już z dziaduniem Dolejszem deklamować chyba nie będziemy.

— Czy tylko potrafię — pytała, zerkając na pomocnika i proboszcza.

— Będziesz się uczyć i koniec.

Pepiczka postawiła na stole półmisek z mięsem wołowem, knedliki i sos.

— Bierz, Franciszku—częstował proboszcz.

Pomocnik wziął widelec i po długim namyśle, wybrał najmniejszy kawałek.

— A cóż to znów? Na plebanii, mój młodzieńcze, tak się nie jada, tyle, to spożywają nasze gołębie.

Nabrawszy na widelec dwa duże kawałki mięsa, włożył je na talerz pomocnika.

Zmieszany młodzieniec, patrzył na dziewczynę.

Wpatrywała się weń bezustannie, a na ustach jej figlarny igrał uśmiech.

— To jest za dużo, tyle nigdy nie jadam —wymawiał się nieśmiało.

— Już zadecydowałem. No, dziaduniu, bierzcie, nie każcie się prosić.

Czermak, pokrajawszy mięso, wziął knedlik, oblał to sosem, co utworzyło na talerzu formalną barykadę. Było mu straszno, zwłaszcza, gdy widział, że uśmiech nie schodzi z ust Albiny.

Mocno zarumieniona Pepiczka przyniosła dzban z piwem, kiedy zaś rozlała je do kufli, proboszcz wziął swój do ręki, podniósł go i zawołał:

— Za nasze zdrowie!

Stuknęli się kuflami. Czermak z Albinką również , przyczem uśmiechnął się wesoło.

— Nic nie pijesz, chłopcze; nie jesz, nie pijesz, zupełnie, jak ptaszek—wyrzekał ksiądz.

— Dość piję, wielebny ojcze, więcej nawet, niż zwykle—tłómaczył się młodzieniec.

— Teraz więc zjawi się „ambrozya" — mówił znów kapłan, kładąc widelec na stole.—Nie wiesz, co to jest „ambrozya?" Nie jest to potrawa bogów greckich, ale napewno lepsza... bezwątpienia lepsza!...

Siedział z rękoma o stół opartemi, z rozjaśnioną twarzą.

Albina i kościelny zjedli wszystko, co mieli na talerzach, lecz pomocnik miał jeszcze pełny. Czuł, jak mu twarz płonie.

— Muszę cioci pomódz — zaszczebiotała dziewczyna i wybiegła z pokoju.

Kościelny, śledząc za nią oczyma, przytakiwał głową, przymrużał swe oczy.

— Opowiedzcie, dziaduniu, panu preceptorowi, o tym Adamie, co się to w Polsce, w Wiśle utopił — zagadnął proboszcz Dolejszę.

Kościelny pytająco spojrzał na obudwu.

— Utopił się, utopił—śmiał się kapłan.

— Wybrał się on z Jodasem, Józefem Szantrochem i jeszcze trzecim muzykantem do Polski i naraz gdzieś im znikł. Wiedzieli dobrze, że jest sprytny, więc nie obawiali się o niego, gdy jednak wieczór się zbliżał, a jego nie było widać, zaczęli poszukiwanie. We wsi, w której nocowali, nigdzie go nie było. Wtem przybiega jeden Polak i mówi, że na brzegu Wisły leży kurtka, czapka i buty. Idą pośpiesznie i znajdują tam rzeczywiście rzeczy Adama. Muzykanci oniemieli z przerażenia. Co go opętało, nie wspominał, nie narzekał, nie tęsknił — mówili dwaj zmartwieni towarzysze, a Józef dodał, że straszna to będzie wieść dla żony Adama. Była to młoda, piękna kobieta, od dwu lat dopiero zamężna. Polacy przynieśli pale, zgruntowali rzekę, lecz czeskiego muzykanta nigdzie znaleźć nie mogli. Towarzysze jego powędrowali dalej. Jodas na szczęście umiał grać na pierwszych skrzypcach, więc muzyka jakoś szła nieźle, przypominali sobie jednak biednego Adama.

Józef wciąż mawiał: „Mnie tylko dziwno, że na brzegu rzeki nie znaleziono skrzypiec?"—Mnie zaś to wcale nie dziwi—odpowiadał Jodas; wszak znałeś z tego Adama, że nigdy skrzypiec z rąk nie wypuszczał, napewno też są przy nim na dnie rzeki.

Pepiczka przyniosła półmisek, Albina drugi.

— Ot i „ambrozya," Franciszku, rajska potrawa, wyśmienita potrawa... wieprzowina z grochem! — objaśnił proboszcz głosem łagodnym, miękkim.

— Najulubieńsze jedzenie naszego wielebnego pana — dorzuciła Pepiczka, stawiając półmisek z pokrajanem mięsem, przybranem przypieczonemi krupkami.

— Bierz, Franciszku, bierz chłopcze, „ambrozya" jest u nas rzadkością; jeszcze jeden kawałek, ot, tak— częstował proboszcz.

— Ale nie wiadomo, wielebny panie, czy dla pana nauczyciela jest równie smaczna — dodała Pepiczka.

— Co też mówisz, a któżby nie lubił wieprzowiny z groszkiem, każdy ją mnsi lubić — słyszysz — musi! Czy nie mam racyi, Franciszku?

— Ależ zupełną! — z uśmiechem przyświadczał pomocnik.

— Widzisz więc! A wy, dziadziu, dopowiedzcie wolno tę długą historyę o Adamie.

— Nie jest ona długa, lecz wzruszająca. Muzykanci, nie odszukawszy Adama, szli sami dalej. Józef mówił nieraz:—Zobaczycie, towarzysze, że on jest w domu; tęsknił za żoną, a wstyd mu było przyznać się do tego, więc uciekł. Jodas jednak stanowczo zaprzeczał.

Nie chciałbym zostać złym prorokiem, ale choć Adam był filutem, pewnię już nie żyje. Po sześciu tygodniach wrócili do domu. Hejna nigdzie nie było. Młodym muzykantom włosy na głowie stawały z przerażenia, gdy pomyśleli, że ich towarzysz stanowczo utonął w Wiśle. A żona waryowała z rozpaczy, i nie dziw; została przecież i maleńka sierota, roczne dziecię. Starosta dał znać do Milowa, rozpoczęto poszukiwania.

Tydzień za tygodniem mijał, Adam się nie zjawiał.

Było już dobrze pod jesień, dnie były krótkie, zachód słońca krwawy. W pewną niedzielę biedna

małżonka siedziała przy stole nad książką do nabożeństwa, kołysząc ręką dziecko. Modliła się za męża, a łzy spadały jej po twarzy, bo była przekonana, że się z nim zobaczy dopiero na tamtym świecie.

Naraz drzwi się otwierają i staje w nich Adam ze swemi skrzypcami na plecach. Spoglądał tak, jakby wrócił z gospody, wypiwszy za wiele...

— Jezus Marya, Adamie—krzyknęła żona i biegnie ku niemu z rozwartemi ramionami.

Adam stał nieporuszony, rozglądając się po izbie.

— Co robisz, Baro? — zapytał, wpatrując się w nią badawczo.

— Co robię? — modlę się za ciebie i płaczę, ot tak, jak widzisz.

Wówczas objął Adam żonę i ściskał tak serdecznie, iż ledwie jej nie zadusił.

— Próba wypadla dla cię pomyślnie, Baro, wiem wszystko. Chciałem się przekonać, czy nie jesteś podobną do tych kobiet, o których w książkach piszą i tyle złego mówią, i dlatego to właśnie zrobiłem. Zdrów jestem, niby młody dąbczak. Włóczyłem się z memi skrzypcami i przyniosłem ci sporo pieniędzy!

Lecz cóż znaczyły dla niej pieniądze wobec odnalezienia się męża! Józef mawiał potem Jodasowi: „A widzisz, ja dobrze twierdziłem, że się nie utopił, skoro skrzypce nie leżały na brzegu."

Jodas zły, milczał. Raz w gospodzie wziął skrzypka za ucho i szepnął mu:

— Powinienem obić cię dobrze, nicponiu, za ten strach, jakiego użyłem, ale, kiedy już jesteś między nami...

Oto cała historya o Adamie, którą opowiadają starzy—dokończył kościelny.

— Czyż to nie filut? Jego weźmiemy za teno-

ra pierwszego. No, Franciszku, jeszcze jeden kawałek mięsa—zaproponował proboszcz gościnnie.

— Dziękuję bardzo, wielebny ojcze, wieprzowina nadzwyczaj jest dobra, lecz więcej nie mogę.

— Mówisz, że dobra, masz racyę, chłopcze, ale widzisz, to już jest takie prawo, że „ambrozyę" trzeba dwa razy nabierać, od czego niemasz apelacyi — i śmiejąc się, nałożył pomocnikowi drugą porcyę.

— Doprawdy, ja się aż wstydzę! Co sobie o mnie pomyśli panna Pepiczka i Albinka, co mój sąsiad...— wyrzekał Czermak.

— Cóż moglibyśmy pomyśleć! Będziemy zadowoleni, że panu nauczycielowi smakuje, zwłaszcza my obie z ciocią, bośmy to same gotowały; dla kucharki to największa radość, gdy jedzenie smakuje! — szczebiotała Albinka, patrząc poważnie i badawczo w oczy pomocnika.

— A to pięknie powiedziała! Jabym Bóg wie ile czasu spotrzebował na wyuczenie się podobnej przemowy, a to sroczka!—mruczał starzec.

Młodzieniec i Albinka roześmieli się wesoło i od tej chwili rozpoczęła się między nimi rozmowa oczu...

— Pijcie, dzieci, pijcie, żeby wam nie wystygło!—zapraszał proboszcz i siadłszy do fortepianu, zaczął grać, ale dobrym muzykiem nie był.

— Panie Franciszku, możebyś nam zaśpiewał jaką naszą piosenkę; wprawdzie to post, no, ale posłuchać można...

Czermak nie kazał się prosić i wkrótce zabrzmiały dźwięki walca.

— Chciałoby się potańczyć z tobą, Albinko — mruczał kościelny.

— Grzesznik z was, dziadziu — spojrzała nań chmurnie.

— Grzesznik! jestem pewnym jednak, że gdyby z tą propozycyą zwrócił się jaki młodzieniec, liczka zakraśniałyby, a maleńki trzewiczek puścił się w tany...

— Lepiejbyś, ojcze, posłuchał! — ostro ksiądz powiedział.

— Aj, aj! — szeptał kościelny i cichutko zajął miejsce.

Pomocnik skończył grać i brał pojedyncze akordy.

— Zaśpiewaj nam teraz, młodzieńcze — uprzejmie prosił kapłan.

— Ach, panie nauczycielu, spełnij pan tę prośbę—dorzuciła Pepiczka, która przed chwilą weszła do pokoju i zbierała nakrycie.

— Nie umiem nic wyjątkowo ładnego — mówił Czermak.

— Coś ty powiedział? Jesteś Czechem, a nie umiesz nic ładnego? Niemcy z przyjemnością słuchają naszych pieśni, oklaskują je, a on nic ładnego nie umie! Piszek [1]) śpiewa Niemcom jednę pieśń za drugą, a ten śpiewać nic podobno nie umie!

Udając rozgniewanego, żywo chodził po pokoju.

Pomocnik, uderzając w klawiaturę, spojrzał na Albinę i zauważył, że i ona czeka.

— Zaśpiewam więc, ale taką staroświecką piosenkę, której mnie babunia wyuczyła — i rozpoczął przegrywkę.

Proboszcz siadł przy stole z rękami na kolanach założonemi, głowę skłonił ku ziemi.

---

[1]) Znany baryton czeski (1814 † 1873).

Miękko, bez wszelkiej sztuki, zaśpiewał Czermak.

Gdybym ja wiedział,
Że wkrótce umrę,
Wnetbym zamówił
Dębową trumnę.

A na tę trumnę
Dębowe wieko,
Aby żal po mnie
Brzmiał hen daleko!

A na to wieko
Dębowy wieniec,
Aby wiedziano,
Żem ja młodzieniec!...

Pomocnik dawno już przestał śpiewać, a w pokoju panowała jeszcze głęboka cisza.

Pepiczka oparła się o ramię Albiny, obie trzymając się za ręce, stały w skupieniu.

Kościelny siedział mocno zgarbiony, od wzruszenia poczerwieniał, łzy spływały mu po policzkach.

Ciszę przerwał proboszcz. Wstał w milczeniu, ręką pogładził swe czarne włosy i dwa razy przeszedł pokój, stanąwszy zaś przy fortepianie, przemówił:

— Ludzie mili, ludzie, toż jest śliczna piosnka. Kto równie piękną słyszał?!

— Taka już stara i znana, lecz gdy ją tylko posłyszę, zaraz płaczę, jako dziecię... — dorzucił Dolejsz.

— Tak, tak, to my, to my jesteśmy w tych pieśniach! — mówił proboszcz, chodząc po pokoju. — W tych pieśniach widzi świat serce czeskie!

Pomocnik widząc, że śpiewem swoim wywarł dobre wrażenie, roześmiał się.

— Może zaśpiewać inną? — zapytał i jednocześnie przegrał kilka taktów, a po nich zaśpiewał również starą, znaną pieśń czeską:

Miałam ja miłego
Z czarnemi oczyma;
Byłabym dla niego
Do wody wskoczyła.
Do wody wskoczyła,
Gdzie najsilniej płynie,
Dla mego miłego,
Dla niego jedynie!...

— Gdzieś się tego wyuczył, przyjacielu? — mówił z przejęciem kapłan, obejmując Czermaka za szyję.

— To u nas w szkole śpiewaliśmy z babcią i dziaduniem w szarą godzinę, to była największa nasza rozrywka—objaśnił preceptor.

— Śliczne to piosenki, nic w nich nie znajdziesz nowego, wszystko dawne, stare!—mruczał proboszcz, gładząc policzki.

— Prosilibyśmy teraz o jaką wesołą — ze śmiechem mówiła Pepiczka.

— Wesołą? Dobrze, niech będzie wesoła!—odparł młodzieniec i zaczął:

Gdybyś moja miła
Bogatą nawet była,
Nie wezmę ja ciebie.
Wybiorę ja sobie
Inną milszą dziewczynę,
Choćby ona miała jednę koszulinę.
Wybiorę ja sobie z modremi oczyma,
Jako moje, ach jako moje, ach jako moje!

Pomocnik grał i śpiewał aż do samych nieszporów. Po pożegnaniu, przy którem dziękował wszystkim stokrotnie, poszedł do kościoła. Proboszcz sam został w pokoju. Dolejsz był też w świątyni, Albinka myła w kuchni naczynia, a Pepiczka ubierała się na nabożeństwo.

Proboszcz zamyślony przechadzał się po pokoju, mrucząc coś do siebie.

Pepiczka, już ubrana, wślizgnęła się cichuteńko do pokoju po swój czepek.

— A tośmy czas mile spędzili, moja kobieto — rzekł proboszcz.

— Tak, bardzo przyjemnie. A czy wie ksiądz dobrodziej, że proboszcz Czermak z Kostelca był bratem jego dziadka? — pytała poważnie, stojąc już przy drzwiach.

— Wiem, wiem—potakiwał giową.

— Że taż Lidunka, którą ztamtąd wypędzono, była jego matką?

— Wszystko wiem; skoro mi powiedział, że jest Czermakiem z Lan, domyśliłem się wszystkiego — mruczał, nie przestając swej przechadzki po pokoju.

— Nosi więc nazwisko matki, czy tak wielebny panie?

Proboszcz stanął przed gospodynią i wyprostowawszy się, powiedział:

— Tak jest—matki.

— Dlatego to taki on milczący, biedak i tak nie lubi opowiadać o swoich—mówiła żywo Pepiczka, patrząc się w przestrzeń.

— Niechętnie?—zapytał krótko.

— Nie to, żeby niechętnie, gdyż o matce często wspomina, ale tak jakoś dziwnie, wymijająco...

— A wy, jak tylko możecie, zaraz badacie, czy nie? Nie męczcie go, proszę.

— Gdzież tam, księże proboszczu, mnie go tak żal...

. . . . . .

Zaraz po błogosławieństwie Czermak wyszedł na spotkanie swego pryncypała.

— Właśnie, właśnie dlatego.

Słońce schylało się ku zachodowi, firmament jasno-błękitny bez najmniejszych był chmurek, mróz lekki brał na noc. W kolejach na drodze kołowej i ścieżkach na polu płynęły jeszcze kałuże z roztajałego śniegu, miejscami jednak pokrywały się już skorupą lodową. Lasy stawały się coraz ciemniejsze.

Młodzieniec nie zwracał na nic uwagi, przebiegał wieś szybko i znajomą sobie drogą podążał na wzgórek, gdzie przed paru dniami stali ze stryjem, nie wiedząc, co z sobą robić; wyszedłszy na szeroką drogę, stanął zdumiony.

Dziś nie było, jak wówczas, pochmurno, więc ukazał mu się daleki, piękny krajobraz, oświetlony jasnem słońcem.

Ujrzał w oddali obszerną dolinę, za nią stopniowo podnoszące się wzgórza, a jeszcze dalej niebieskawe, nieruchome szczyty Bezdicza, Ralska, Kozakowa i wiele pagórków w stronie Iczyna; na prawo, najbliżej tych gór, szeroko rozkładał się Jesztied.

Wszystko było pokryte białą, lśniącą zasłoną, miejscami tylko na polach przeświturwała już czarna ziemia; z lasów rozciągał się mrok ciemny, a małe drzewka uśmiechały się zdaleka.

Za Karkonoszami ciągnęła się mgła coraz wyżej i wyżej, jakby tam za góry ulatywała zwolna zima, wlokąc za sobą biały, puszysty płaszcz.

Kokrhacz szarzał już w tej mgle.

Słońce mocno jaśniało, promienie jego drgały, cisza zalegała nad całą okolicą. Pomocnik szedł blizko trzy godziny na spotkanie kantora, do domu wrócili już w nocy.

Nauczyciel opowiadał, że Wacław ogromnie rośnie, jak po deszczu i bardzo się cieszy ze świąt. Pani kantorowa obwieściła im smutną wieść o śmierci Żalaka.

Kiedy pomocnik odchodził do swego pokoju, szepnęła mu:

— Była tu panna Papiczka, pokazalam jej izdebkę pana, proszę mi przebaczyć.

Roześmiał się szczerze.

— Albinka z nią była...—ciągnęła dalej.

— Ale...—skonały mu słowa na ustach.

— Portret matki pana widziały!...

VII.

W poniedziałek było jeszcze szaro, gdy kantorowa zapaliła w piecu, aby się klasa dobrze ogrzała; o siódmej godzinie było tam już, jak w łaźni.

Sala była nizka, z nierówno wybielonemi ścianami, o czterech oknach z niszami, podłodze drewnianej, przy piecu ceglanej — wszędzie mocno wydeptanej.

Zaraz na prawo od drzwi stał ogromny piec kaflowy z przypieckiem, na którym leżało duże brzemię drzewa; na lewo przy podłużnej ścianie „ośla" ława, cała obkrajana, przed nią zaś dobrze wytarta tablica stojąca, obok niej zawieszona szmatka do wycierania. Między tablicą a pierwszem oknem umieszczony był stół z zabrudzonemi nogami i szufladą, kiedyś pomalowany był czarną farbą. Pod ścianą za tablicą stała nizka szafka, ze starym, jeszcze gotyckim napisem: „Biblioteka szkolna." Resztę pokoju zajmowało 8 długich, niezbyt mocnych ławek, z różnemi nacięciami; chociaż porządnie wymyte, obfitowały w ogromną ilość kropek atramentowych, których nie mógł unicestwić ani wiecheć, ani piasek. Przejście obok ścian było nadzwyczaj małe. Na prawej stronie bez okien wisiała zczerniała mapa niemiecka Królestwa Czeskiego, a obok niej dwa oszklone, w żółtych ramkach

obrazki: „Przypowieść o miłosiernym samarytaninie" i „Nawrócenie syna marnotrawnego." Między oknami widniał krzyż z pozłocistą figurą Chrystusa, a w głębi portret cesarza Ferdynanda V-go i stary obrazek, wyobrażający grzyby trujące, z ogromnym muchomorem na czele.

Okna klasy wychodziły na zachód, w tej chwili więc nie wpadały do niej promienie słoneczne, przez pół-zamarznięte okna widać było tylko słońcem oświetlony dach i drzewa.

Obydwaj nauczyciele, stary i młody, przed ósmą byli w klasie...

. . . . . .

Pomocnik długo nie mógł zasnąć, wogóle spał niespokojnie, jednak ten sen nie był mu nieprzyjemnym. Koło serca czuł błogie jakieś ciepło. Zaledwie oczy zamykał, coś mu się zaraz śniło. Dzieje dnia ubiegłego, wszystkie rozmowy, uśmiechy, plotły się w dziwaczny sposób. Widział owe dołeczki na twarzy, błękitne oczy, maleńkie buciki, słyszał głos podobny do srebrnej piszczałki... O trzeciej dopiero twardo zasnął, a gdy go przebudziły kroki pani kantorowej, znów był rozdenerwowany. Przyzwyczajony wstawać w zimnej temperaturze, dziś trząsł się, jak w febrze. Z upojenia słodkiego pozostał tylko smutek i strach przed czemś nieznanem. Szczęście gdzieś się rozprysnęło...

Ubierając się, wpatrywał się w portret matki i przysięgał sobie, że się przezwycięży, nie podda tym ułudnym marzeniom.

— Co mi się stało, do czego mnie to doprowadzi?—strofował sam siebie i przyrzekał siedzieć w domu, zająć się nauką, przepisywaniem nut i książek.

. . . . . .

Pan kantor w czapce na głowie usiadł na krześle przy stole, pomocnik na pierwszej ławce.

— Jakoś nikt nie przychodzi — przerwał Czermak milczenie.

— Ja do tego przywykłem, wogóle niewiele ich przyjdzie. Z tem jest największa bieda w górach: dziś przyjdzie kilkoro, jutro w domu zostaną, a inni znów przyjdą. Trudno iść dalej. Najciężej z małemi. Dziś paru się zjawi, główna zaś armada przybędzie pierwszego maja, a przez cały rok wciąż nowe dzieci przybywają. O jednolitej nauce ani mowy. Wprowadziłem ja niektóre zmiany, nie powiodły mi się, bo sam jeden tylko pracowałem, wyśmiano mnie jeszcze. Podług ogólnego mniemania, kantor jest jakimś cudotwórcą, który powinien dziecko nauczyć bez względu na warunki nieprzyjazne.

— To pewno bardzo trudno wpakować do głów teorye arytmetyczne: ułamki, regułę trzech — zaśmiał się preceptor.

— Gdzież o tem myśleć, gdzietam! Przeważnie uczy się tylko na egzamin, po nim dzieci nie wiedzą często, ile jest dwa razy dwa. Ja chcę dawać moim uczniom takie wiadomości przedewszystkiem, jakie im w życiu potrzebne będą. Cóż z tego przyjdzie, że na popisie wyliczą doskonale wszystkie części mowy, odmienią je bez błędu, jeśli nie potrafią podpisać się porządnie; cóż im z tego, że „na wyrywki" powiedzą, kiedy należy postawić punkt, przecinek, jeśli nie ułożą najkrótszego nawet listu. Podług mnie, życie na pierwszym planie — egzamin na ostatnim. Gdyby to odemnie zależało, wprowadziłbym do szkół naukę gospodarstwa, ogrodnictwa, przytem naturalnie wszystko to, co w życiu jest konieczne. Ale przecież jest już pewien postęp. Czytałem, iż nasz patryota, poeta Vocel [1]), nauczyciel Hawachów, był z magnatami na

[1]) Archeolog Vocel, patryota czeski 1803—1871.

egzaminie w Nechanicach, zadawał pytania z nauki o płodozmianie, ogrodnictwie, o roślinach szkodliwych i pożytecznych i zwierzętach; o przyczynach pożarów na wsi, sposobie gaszenia ich, wreszcie pytał o historyę Czech. Skoro wielcy panowie zwracają na takie rzeczy uwagę, kantorzy chętnie ich słuchają i już jest postęp. Lecz biada, gdy nauczyciel sam zaproponuje! Ja jednak w cichości ducha uczę mych uczniów trochę przyrody, geografii i historyi ojczystej naturalnie. Czyż to nam niepotrzebne? — zapytał, ponuro w przestrzeń wpatrzony.

Pomocnik przytakiwał ruchem głowy.

— W naszych wioskach syn dziedziczy wiadomości po ojcu, ojciec po dziadku i wciąż jednakowo postępują. Niemiec jest ryzykowniejszy i wytrwalszy. Czech nie zabierze się do niczego nowego, wody się nawet boi. Niemiec zaś puści się na jej fale śmiało; jeśli zgubi wiosło, rękoma wiosłuje. Przeto źle z nami. Musimy dzieci do czytania zachęcać, ot mamy tu biblioteczkę—i pan nauczyciel zaprowadził pomocnika do szafki.

Otworzywszy drzwiczki, pokazywał mu rzędy książek.

— Przed wakacyami były one porządnie zniszczone, ponaprawiałem trochę. Za pieniądze, jakieby wziął introligator, kupię nowy zapas najświeższych książek: „Starożytności" Fileika, „Doskonały uczeń" Krala, byłegu proboszcza w Brannie, Hybla, Jawornickiego już mamy. Ze starszymi uczniami sadzimy drzewa owocowe, a później każdy grosz ztąd zebrany na książki przeznaczamy; proboszcz i ksiądz Chwala pomaga nam bardzo, ale też wiele wydajemy na czytanki i elementarze.

— U nas, u dziadunia, szło to gorzej — mówił pomocnik.

— Nic dziwnego; gdybym ja nie miał chałupy

i pewnego kawałka chleba, wszystkoby troski pochłonęły. Biedakowi trudno myśleć o drugich! Pieniędzy, pieniędzy nam i całemu narodowi potrzeba! Gdybyśmy mieli dziesięć tysięcy bogaczów! Powinniśmy się starać, by nasi ludzie uczyli się wzbogacenia. Błogosławię młodego doktora Karola Amerlinga w Pradze: miewa on popularne wykłady dla rzemieślników, uczy młode panny, przygotowuje wydawnictwo książek naukowych. Teatr, „besedy," książki mają wpływ na serca i głowy, nie należy jednak zapominać o kieszeni. Złoty klucz każdy zamek otworzy, nawet i piekielny, niebieskiego wprawdzie nie odemknie, ale jestem pewny, że my, Czesi, dobrze tam zapisani.

Drzwi zaskrzypiały i ukazał się w nich stary Roubal, komornik z pod lasu. Starszy chłopak, Wacław, pierwszy wszedł do sali i pędził wprost do ławki; małego, pucołowatego prowadził starzec za rękę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! dzień dobry!—witał Roubal. — Prowadzę panu dwóch rekrutów, no, pocałuj w rękę, i pana preceptora także.

Chłopiec był szerszy, niż dłuższy, modrooki, z zadartym nosem, o jasnych włosach, tak mocno wysmarowanych pomadą i gładko przyczesanych, iż tworzyły jednolitą błyszczącą powłokę. Na szyi miał grubą chustkę, obszerne palto, ze starego uszyte, spodnie wełniane, wsunięte w nizkie, wytarte już cholewy butów.

— Wystroiliśmy chłopaka, jak mogli i wyprawili do szkoły, byle w domu nie siedział i nie dokazywał—mówił dziadek, wsuwając coś panu kantorowi do ręki za tego małego ucznia.

Nauczyciel schował to do szuflady i przystąpiwszy do malca, zapytał:

— Jakie masz imię?

— Flanuś—odpowiedział.

— W szkole będziemy ci mówić: Franciszek Roubal.

Chłopak rozglądał się ciekawie po sali, dostrzegłszy grzyby, z pogardliwym wyrazem ust zawołał:

— Eh, koło nas w lesie mnóstwo takich rośnie w lecie!

— Nieco on już umie — objaśniał starzec — zna całe abecadło i rachować potrafi.

Preceptor ujął malca za rękę i zaprowadził do pierwszej ławki.

— Usiądź tu, mój synku, ot tak.

Posadził go i zaczął z nim rozmawiać.

— Czy pan pomocnik przywyka do naszych stron?—pytał komornik.

— Zupełnie przywykłem.

— To dobrze, bardzo dobrze, a co to dopiero w lecie, gdy będzie można chodzić po górach i lasach! Las i ptaki, to moja uciecha! Mam takiego kosa, że podobnego nie znajdziesz chyba.

— Pochwalony Jezus Chrystus!—pozdrowili dwaj wchodzący chłopcy.

Obaj byli opakowani po szyję. Jeden niósł tornister, drugi książkę i tabliczkę szyfrową.

— Oto nowi zapaśnicy—śmiał się Roubal.—A cóż ojciec twój, Hando, porabia?

— Tka—brzmiała odpowiedź.

Dwaj uczniowie zajęli swe dawne miejsca.

— Dzień dobry!—witała kobieta, wchodząc z małą dziewczynką, ubraną w wełniane szaty.

Miała ona na sobie ogromną chustkę matczyną, przyczynę udręczeń przy każdym ruchu, lecz jednocześnie przyczynę dumy.

— A, kumoszka Heinowa — mruknął Roubal. — Co robi Adam?

— Cóżby robił, jeśli nie buty. Niech panowie nauczyciele będą łaskawi zająć się cierpliwie naszą

córką; onieśmielona ona, gdyż w domu nie pozwalamy jej na zbytki.

Czermak, patrząc na matkę i córkę, przypomniał sobie opowiadanie Dolejszy o Adamie Hejnie.

— Prędko się zaprzyjaźnimy, prawda, Marzenko, czy jak ci tam mówią?—zagadnął preceptor.

— Marzenka nie, ta obok nas Szwejcówna jest Marzenką, ja Toniczką — zaśmiało się dziewczę serdecznie.

— Ona już nieźle czyta, uczyliśmy ją oboje z mężem, aby nie przyszła do szkoły, jako ślepa. A pamiętaj, słuchaj zawsze—zwróciła się do córki.

Czermak pogłaskał dziewczynkę i zaprowadził ją do ławki.

Usiadła, ale nie spuszczała oczu z matki.

— Proszę, niech się pan nią zaopiekuję, już ja tego nie zapomnę—szeptała pomocnikowi.

Tymczasem przybliżył się stary Roubal do młodszego, wytargał go za włosy, mówiąc:

— Przyjmuję cię do cechu!

Franciszek boleśnie się skrzywił, lecz wkrótce odwrócił się z uśmiechem.

Stary Roubal dowlókł się do preceptora i pochylony, szeptał mu do ucha:

— Mój kos, jak to już wspomniałem, gwiżdże trzy piosnki: „Na Białej górze," „Nad dębem, pod dębem," „Nie pójdę do domu." To rzecz godna podziwu. Proboszcz ma przeróżne ptactwo, takim jednak kosem nie może się pochwalić.

Hejnowa zbliżyła się do córki i pokazywała jej, jak siedzieć powinna, jak patrzeć na tablicę.

Roubal również strofował wnuczka:

— Masz, chłopcze, słuchać, jeśli nie, to wiesz,

co cię czeka: miotła, rózga, komin [1]) też widziałeś. Pana nauczyciela nie pytaj o to, bo jest zły.

— Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Za dobre sprawowanie polubimy cię tu.

— Rózga, to złota rzecz—tłómaczył komornik.— Nasz nieboszczyk kantor miewał porządną.

— A jaki to był zaszczyt dla tego ucznia, który przynosił z lasu rózgi, albo je brał do domu do sparzenia. Gdzieżby się panowie nauczyciele obeszli bez brzeziny!

Do szkoły wszedł Viechet, stróż nocny, nizki, chuderlawy człeczyna. Przyprowadził chłopca o dziwnie ponurem wejrzeniu, z wydętą dolną wargą i czołem pomarszczonem. Miał zawieszony na szyi, niby szkaplerz, nowiuteńki elementarz. Kiedy zbliżył się do niego ojciec i chciał mu zdjąć czapkę z daszkiem, fotrem obszytą i chwastem ozdobioną, malec przytrzymał ją silnie rękoma. Stróż zachichotał głosem, przypominającym beczenie młodego cielęcia.

— Toniku [2]), Tondo! przecież jesteś w szkole, patrzaj, panowie kantorzy!—szeptał czule.

Tonik, trzymał czapkę, nie myśląc jej zdjąć.

— Wróble ma pod nią, wróble ma napewno! — zawołał pryncypał, nie zwracając uwagi na chłopca.

W mgnieniu oka zdjął czapkę, pokazywał, że jest pustą, przyczem wyszczerzał białe zęby.

— Tak, ot tak, Tonku! A słuchaj też w szkole. Jeśli grzecznym będziesz, dostaniesz buty z wysokiemi cholewkami z czerwonym jak krew brzeżkiem i z podkówkami.

Chłopak był zasępiony.

---

[1]) Miejsce wszelkich egzekucyj kar dziecinnych.

[2]) Zdrobniałe imię Antoni.

— Teraz pokażę ci, Toniku, gdzie masz usiąść— miękko wymówił nauczyciel, ująwszy chłopca za rękę.

Zaledwie krok z nim postąpił, malec, jak gdyby iskra elektryczna po nim przebiegła, zerwał się, tupnął, pędem wybiegł z sali, trzasnąwszy drzwiami tak silnie, że szyby zadrżały.

Stróż stał, jako piorunem rażony.

— Uciekł—wyszeptał.—To matka wychowała go na takiego dzikusa.

Wszyscy się głośno roześmieli.

Do klasy weszło trzech starszych uczniów.

— Tonda Viechta ucieka, chcieliśmy go przytrzymać.

— Upadł na ziemię i wierzgał nogami.

— Teraz już pewnie w domu—wołali jednocześnie, oddychając prędko ze zmęczenia.

— Cóż ja z nim pocznę? — pytał się stróż nocny, płacz zaledwie powstrzymując. — Jestem przekonany, iż żona całą winę tylko na mnie złoży.

— Nie krzyczcie, nie gniewajcie się. Spokojnie opowiedźcie mu, że Roubalowie i Toniczka chodzą pilnie do szkoły. Powiedzcie, że pan kantor posądza go o zgubienie nowego elementarza.

Viechet poskrobał się po głowie i mocno przygarbiony wyszedł z klasy.

Toniczka się śmiała, ale Franciszek siedział cicho, ani mu jeden muskuł nie zadrgał.

Stary Roubal nie spuszczał z wnuczka oka. Uśmiechał się do niego, groził palcem, a zaledwie Viechet się oddalił, zbliżył się do pomocnika i dalej opowiadał:

— Latem zawieszam klatkę z moim kosem z frontu domu, a on tak gwiżdże, że się rozlega po całuśkim lesie i wiosce. Często przechodzą tamtędy Niem-

cy na targ do Nowego Świata [1]), to nieraz i pół godziny przestoją, zasłuchani w ono gwizdanie.

Józef Tobis wkroczył do sali szkolnej, jak bohater. Podczas rozmowy ojca, wysokiego, czterdziestoletniego mężczyzny z kantorem, przyglądał się on swym pierwszym nowym butom, podobnym do sani. Nic sobie z nikogo nie robiąc, podniósł prawą nogę, oparł ją o kolano i poślinionym palcem zaczął czyścić podeszwę. Pomocnik zaprowadził go do ławki. Józef nim usiadł, pokazywał buty starszym uczniom. Kiedy go starszy Roubal przyjmował do cechu, tak go uderzył abecadłem, że się rozległo po klasie.

— Ty smarkaczu! — strofował ojciec, zwracając się zaś do nauczyciela, dodał:—To tak zawsze z tymi bębnami!

Wyrobnica Marynkowa przyprowadziła dwóch chłopców i dziewczynkę, jedno mniejsze od drugiego, a wszystkie nędznie przyodziane. Chłopcy mieli zniszczone mocno ubranie, podziurawione trzewiki futrzane, gołe szyje; dziewczątko owinięte było w chustkę matki, na nogach miała tylko papucie.

— Prowadzę wam, panie kantorze, trzecie, a zaklinam was na Boga, bądźcie wyrozumiali i cierpliwi. Mąż mi ciągle niedomaga, nie mam już czem wyżywić tych piskląt. Moi złoci ludzie, anibyście nie uwierzyli, ile one potrzebują jedzenia; od rana do nocy usta im się nie zamykają, a co im dam?... Tu przynajmniej są w cieple.

— Mąż jej przenosi kontrabandę—objaśniał Roubal preceptora.—W jesieni nachodził się bardzo i teraz na nogi jest chory. Matka ich wszystkich żywi, a jakim sposobem, to Bogu tylko wiadomo. Stra-

[1]) Miasteczko niedaleko Iczyna.

sznie to pracowita kobieta. Z mężem nie można nic poradzić; ileż razy przemawiał do niego proboszcz, ale słów nawet szkoda.

Marynkowa była bardzo wysoka, koścista; czarne włosy niedbale miała zaczesane, policzki chude, zapadnięte. Czując na sobie wzrok pomocnika, kiwnęła głową, a patrząc smutnie w okno, szepnęła cierpko:

— Ot bieda, bieda okropna, kto jej nie doświadczył, ani nie zrozumie!...

Starosta Horzawka przyprowadził również swego syna, ubranego w krutki surdut, skórzane spodnie i wysokie buty. Trzymając w lewej ręce wełnianą czapkę, prawą wymachiwał, mówiąc donośnie:

— Oto najmniejszy oficer; proszę panów, nie zwracajcie uwagi na to, że on synem starosty i gdy zasłuży, skóry nie żałujcie. No, Cyrylu, marsz do ławki!

Podczas, kiedy malec z hałasem przedostawał się do reszty uczniów, starosta podszedł do pomocnika i uroczyście oznajmił:

— Żona włożyła panu do bochenka chleba dwadzieścia centów, zostawiłem go w kuchni, przysłała też kilka jaj. Przyda się, nie zaprzeczaj pan, wszak kieszeń preceptorska nie wystarcza na zwierzynę!

— Sądzę, że nikt z mieszkańców Pozdietyna nie ma na zwierzynę—dorzucił nauczyciel.

Starosta obrócił głowę niedbale, a jego śniada twarz wykrzywiła się, czoło pokryła sieć nowych zmarszczek.

— Myślę, że i przybysze nie wiele więcej ich posiadają—odciął się ostro.

— Po niedzieli zabiją u nas wieprzka—opowiadał Cyryl swym kolegom tak głośno, by go wszyscy słyszeli.

Ojciec się mile uśmiechnął.

— Siedź więc, chłopcze, spokojnie i pamiętaj, że cię nie będą wyróżniać. Pójdę najprzód do kościoła, żegnam zatem.

Tymczasem przybyło jeszcze kilku uczniów i uczennic.

— A to miele ten starosta! — zauważył Roubal, zwracając się z tem do preceptora.—Zbiera pieniądze na odświeżenie kościoła, a nic nie robi. Na Boże Ciało na całym świecie strzelają, tylko nie w Pozdietynie, bo kieszenie starosty zawsze są puste. Chodzi jeno do kancelaryi i adwokatowi paluszki oblizuje. Ale co się tyczy tego kosa. Otóż jeden z Niemców stawał nieraz przed frontem domu, słuchał śpiewu i słuchał, wreszcie zaszedł do mojej chałupy i prosił, żebym mu ptaka odsprzedał. Ja nie chcę, ale Niemiec...

— Chodźmy już, ludzie, do kościoła, ksiądz pewnie na nas czeka — głośno i stanowczo przemówił pan kantor.—Jest was, dzieci, jest was z dziewięćdziesięciu, i to pierwszy dzień—powiedział z goryczą.

Preceptor wyprowadzał dzieci z ławki i ustawiał je w pary. Wyszli wszyscy: młodsi w środku, starsi po bokach.

Pani kantorowa stała we drzwiach w kuchni i z uśmiechem patrzyła na dzieci. Zobaczywszy Marynkową z trójką, nic nie mówiąc, ujęła ją i dzieci za rękę, wciągnęła do kuchni, gdzie już na nie czekała misa kwaśnego mleka.

— Zjedzcie prędko, to zdążycie dogonić—zapraszała gospodyni.

Dzieci wzięły łyżki i zabrały się do mleka.

— A wy nie zjecie, Marynkowo?

— Et, niech się one posilą, ja dostanę jadła przy młocce — odpowiedziała z goryczą, smutnie się uśmiechając.

Kiedy uczniowie przyszli do kościoła, kantor ustawił je w porządku około ołtarza Pańskiego, odmówił z niemi: „Niechaj będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament" i usiadł w pierwszej ławce.

Czermak udał się na chór, za nim podążył stary Roubal.

Widząc, że pomocnik za organami spokojnie czeka na dzwonek r ıistranta, zagadnął:

— Wieczną mam troskę z tym naszym chłopakiem. Jest ich trzech wprawdzie, lecz ten mi najmilszy. Muszę dokończyć o kosie...

— Nie troszczcie się, bądźcie spokojni— upewniał młodzieniec.

Pomocnik, spojrzawszy na kościół, zauważył wejście Albiny, która pryncypała ukłonem powitała; potem wzrok jej na chór zabłądził.

Czermak uśmiechnął się nieznacznie.

— Niemiec — ciągnął komornik — nie dawał mi pokoju, wciąż prosił o kosa. Jednego razu, wracając z targu w Wietrowie, wstąpił do mnie z kozą, którą na sprzedaż prowadził, i znów swoje zaczął. Powiedziałem zniecierpliwiony: dobrze, za tę kozę dam wam ptaka.

Ministrant zadzwonił, pomocnik uderzył w klawisze.

Stara pieśń „Przed Twym majestatem Boże", śpiewana przez starszych i dzieci, rozbrzmiała po całej świątyni. Po mszy odmawiał kapłan modlitwę do Ducha Św., prosząc o łaskę i światło dla zgromadzonej dziatwy.

Przy wyjściu z kościoła na cmentarz dostrzegł pomocnik Albinę, stojącą w kącie i zerkającą na niego...

Ojcowie i matki odprowadzili swe pociechy do

szkoły. Kiedy wszedł proboszcz w śnieżno-białej komży, dzieci jednogłośnie wypowiedziały: „Po-chwa-lo-ny Je-zus Chrys-tus—po-kor-nie wi-ta-my". Nowi uczniowie w głębokiem milczeniu spoglądali po sobie.

Proboszcz, opierając się na życiu Chrystusa, nauczał dzieci, jak mają się zachowywać w szkole i domu, jak miłować naukę, tutaj im wykładaną.

Preceptor odczytał przepisy szkolne, a pan kantor objaśniał punkt za punktem. Starosta wreszcie wystąpił z surowem napomnieniem, żeby dzieci nie zbytkowały, jak to zwykle bywa, bo w takim razie zmuszonym będzie przedsięwziąć ostre środki.

— Przyjdziecie znów o pół do pierwszej, a o pierwszej rozpoczniemy naukę. Jeśli spotkacie kolegów, lub koleżanki, namówcie ich, żeby przyszli z wami do szkoły, przecież mają już drogę wydeptaną—rzekł głośno pryncypał.

Pomocnik wyprowadził dzieci na podwórze, rodzice je zabierali i szli do domu.

— Widzisz, posiedziałeś sobie, drogi chłopcze— śmiał się Roubal, przyciągając wnuka.

Odwrócił się do pomocnika, ujął go za rękaw i paplał znów:

— Trzebaż doprowadzić do końca historyę kosa. Powiedziałem tedy Niemcowi: Zgadzam się. Koza za ptaka! Niemiec z ukrytem zadowoleniem przystał zaraz, dał mi kozę, a zabrał kosa. Niechętnie rozstawałem się z ptakiem, rajskim ptakiem, mój panie, który śpiewał, jak człowiek. A cóż, koza kozą jest tylko. Zabrał kosa i koniec! W trzy tygodnie jednak zjawia się on Niemiec i prosi, bym mu zwrócił kozę, bo kos nic nie śpiewa, żona się gniewa, a cała wieś wyśmiewa się tylko. Gdyby nie przywiązanie do kosa, byłbym drzwi Niemcem wybił. Oddałem kozę, a klatkę powiesiłem na dawnem miejscu. Czy uwierzysz, ptak zaczął wyśpiewywać wszystkie pio-

senki, Niemiec zaś stanął z podziwu, jak żona Lota, i rozpłakał się. Dalejże prosić, bym mu oddał kosa, nie zgodziłem się jednak i mam go do dziś dnia. Żegnam pana — zachichotał stary Roubal i z chłopczyną pędził z góry.

Pomocnik, wracając z podwórza, wstąpił do kuchni. Przy stolarskim warsztacie siedział proboszcz w swej białej komży i gawędził z kantorem i jego żoną.

— No, jakże się miewacie, Słowianinie? — witał serdecznie.

— Dziękuję, dobrze — odparł Czermak.

— Staraj się przyzwyczaić, Franciszku: jam z obcych, dalekich stron, przywykłem jednak. Trzeba przecież zrobić coś i z uczniami, cóżby się stało z tymi biedakami? Czy pokazał ci stary swe księgi? — pytał, mrugając na kantora.

— Jakżeby nie pokazał! Zebrał całą pakę i popędził z nią do pana Czermaka — objaśniła ze śmiechem pani kantorowa.

Obecni zaczęli się śmiać serdecznie.

— Ale za to dostałem „Rozmaitości" z osiemnastego roku; pierwszy raz miałem to w swych ręku— mówił z widocznem zadowoleniem.

— Skoro pójdę do domu, zbiorę wszystkie książki po dziadku, znajdzie się między niemi wiele dobrego. Nie szanowałem tego dotąd, nie porządkowałem, nie miałem bowiem czasu, zresztą...

— Uważałeś je za nic warte, zdatne dla żebraków tylko, nieprawdaż? — pytał proboszcz.

— Azaliż to nie dla żebraków? — mruknął kantor, chodząc po pokoju.

Pomocnik patrzył na niego zdziwiony, kapłan nie drgnął nawet.

Pryncypał zatrzymał się przed preceptorem, popatrzył na niego chwilkę i mówił z przejęciem:

— Czyż nie jesteśmy żebrakami? Każdy pan, to Niemiec, a jeśli nim nie jest, to się przynajmniej za niego podaje. Dobrze, bądźcie panami, bogaczami, lecz nie za cudzą krzywdę. Wciąż jedzą z pełnej misy, powtarzając w kółko: Gdy się najemy, pożyczymy wam łyżki! Zajrzyjcie do biur, kancelaryj, a przekonacie się, cośmy warci. Jeśli pisarz potrzebuje napisać co po czesku, tyle błędów popełni, że aż się słabo robi. Oj źle, źle z nami. Czyż mam być dla tego gorszym od innych, że moi rodzice Czechami byli! Jakby to murzyn afrykański nie był równym człowiekiem z Niemcem? Czesi od dwóch wieków błąkają się po pustyni, szukają swej ojczyzny i znaleźć jej nie mogą. Litość mam dla tego tłumu, chciałbym wprost krzyczeć na trwogę!... — Pan kantor krzyczał wistocie tak głośno, że ledwie dech chwytał.

— Prawda, święta prawda — wzdychał proboszcz — ale zbyteczna litość i rozpacz nad tłumem; on już zaczyna się uświadamiać, zaczyna żyć; to tylko zemdlenie, ponieważ pierś naszą przygniata ciężar ołowiany...

— Et, do licha, gdyby naród nie był tak ślamazarnym, nie wzdychałby, lecz krzyczał. Czech jest zbyt cierpliwym, bardzo pracowitym i dlatego milczy się o nim. Przejdźmy naszą okolicę wzdłuż i wszerz; chodźmy od wioski do wioski i patrzmy, jaki tam lud zamieszkuje. Czy to są Niemcy? Bynajmniej! To Czesi, sami Czesi, tysiące Czechów, tylko, że oni ledwie dyszą, nie mówią głośno, nie krzyczą, nie śpiewają tak, aby się mowa ich rozlegała hen, daleko i nikt też o nich nie wie! Jabym nie dał grosza tym muzykantom, którzy podczas gry towarzyszów mruczą tylko.

Ksiądz i pomocnik roześmieli się z tego dowodzenia, żona, stojąc przy kominie ręce załamała.

— Nie przesadzaj, przyjacielu, nie przesadzaj, masa już się porusza, odzywa, jeno nie wszyscy jednocześnie. Kiedy lipa jeszcze jest tak młodą i cienką, że łatwo się może złamać, nierozsądnie byłoby na nią wołać: „Lipo, lipo wyciągaj się w górę, postaraj się o pień do dębu podobny, prędzej, prędzej rośnij!...” Lipka wolno rozrośnie się na piękne, wielkie drzewo, silniejsze, niż ten dąb, który wówczas zacznie już próchnieć. Niech jeno te dzieci dorosną — mówił kapłan z namaszczeniem. Siedział on zgarbiony i gładził swe policzki.

— Ależ ksiądz dobrodziej zawsze to samo powtarza — cierpko przerwał kantor — a ja temu nie wierzę. Nasz wieśniak bywa uparty, lecz tylko jeden względem drugiego, w kancelaryi urzędowej prawie nigdy. Jego zaś dzieci, skoro zmienią strój wieśniaczy na surdut, tracą całkowicie ową hardość. A proszę was, moi mili, czyż w szkołach i urzędach są ludzie czysto niemieckiej krwi? Wcale nie! A przecież jesteśmy pono do niczego. Wina nasza polega na tem przekonaniu, że kto się niewolnikiem narodził, powinien zostać nim do śmierci! O, Czesi, Czesi, płakać nad wami i potomstwem waszem! Maluczko, tylko trochę mniej odporności, a czeka was los Jerozolimy!

Kantor mocno był przejęty, na nogach się wprost nie mógł utrzymać.

— Racya, racya, rozumiem cię, przyjacielu! Ze wsi dostałeś się do miasta, spotykałeś tam panów urzędników, wojskowych i t. p. i było ci z nimi źle, smutno! Tutaj siedzimy sobie spokojnie w domu, czytamy nasze książki, to nieraz widzimy nie jedno w lepszem, różowem świetle! Nie dziwię się panu, nie trzeba jednak narzekać, nie wolno rozpaczać. Prze-

cież murów Jerycha nie obalił płacz i łzy. Jest nas wielka gromada, głowy mamy nie od parady, tylko potrzeba uam solidarnego działania!—mówił proboszcz z zapałem.

— Cieszymy się, gdy magnat powie nam słówko czeskie, skaczemy z radości, gdy naszą mowę ojczystą łamie, przekręca, męczy jak łotra na Kalwaryi, jakby to nasz język miał być najgorszym, jakiemś cygańskiem narzeczem! Prawda, mamy zdolnych ludzi; nasi inżynierowie budują wszędzie drogi, stawiają fabryki; nasi artyści śpiewacy i muzycy cały świat zachwycają, a jednak nikt nas nie zna, nic więcej o nas nie wie nad to, że mamy ręce dobre do pracy. Nieraz zadaję sobie pytanie: po co żyją Czesi na świecie? Żeby pracowali, jak woły, dlatego jedynie. Jeśli tak dalej będzie, zgniotą, zgnębią nas! Wtedy prawdziwem się stanie twierdzenie pewnego Niemca, że najodpowiedniejszą stolicą rzeszy niemieckiej będzie Praga!...

Podniecony, rozbolały nauczyciel usiadł na krześle, wstał zaś proboszcz; trzymając swą kraciastą chustkę od nosa, zaczął mówić z uśmiechem, lecz poważnie:

— Wiecie, co powiedział nasz poeta Marek? [1]): „Pracuj, póki czas. Obecna chwila jest kolebką przyszłości. Pracujmy, każdy oddzielnie i wszyscy razem pracujmy, a Bóg nas nie opuści. Wierzę, nie przestanę w to wierzyć, iż zaszczytem będzie módz powiedzieć: „Jam Czech i Słowianin!" Słowa te wymówił z przejęciem, uroczyście, zakończył jednak wesoło: I ty, mój stary przyjacielu, tak samo wierzysz; gdybyś nie wierzył, nie odzywałbyś się w ten sposób. Czy tak?

---

[1]) Antoni Marek, poeta, proboszcz w Libuni 1785—1877.

Kantor uśmiechnął się smutnie.

— Ta wieczna troska i smutek zmoże niekiedy człowieka — rzekł już pogodniej.

Proboszcz wyjął brzozową tabakierkę, poczęstował tabaczką i sam zażył najwięcej.

— Muszę wracać do domu—zerwał się nagle — jeszczeby za mną pogoń wysłali — pochwycił czapkę i już był we drzwiach.

— Proszę pozdrowić Pepiczkę i Albinę—wołała pani kantorowa, jakby ich dawno nie widziała.

— Dziękuję, dziękuję. Zostańcie z Bogiem!

Obydwaj nauczyciele odprowadzili proboszcza, który pędził, jak strzała.

— Jakie piękne było wczorajsze kazanie—rzekł preceptor.

— O czem?

— O tem właśnie, co było przedmiotem pańskiej rozmowy. Kapłan tłómaczył, iż są ludzie, którzy się wypierają swej matki ojczyzny, jak Piotr Chrystusa, wstydzą swego pochodzeuia i mowy rodowitej. Piotr żałował swego czynu, oblewał go łzami pokuty, a ci urągają krwi rodzonej, wyśmiewają się tylko.

— Wszyscy to czujemy, z kazalnicy jednak rzadko się słyszy, najczęściej u nas. Za to już, jak również za inne prawdy głoszone, nasz proboszcz wzywany był do wikarego, ale wracał zawsze rozweselony.

— Jeszcze na słóweczko, panie preceptorze — prosiła kantorowa.

Pomocnik wszedł do kuchni.

— Oto Hejnowa przyniosła panu kawałek wędzonego mięsa, Tobias dwie kiszki, starosta parę jajek i bochenek chleba z dwudziestówką w środku — prawiła gosposia, składając zapasy.

— A toby pięknie było, żebym do siebie zabie-

rał, wszak mam wszystko, czego mi potrzeba — wymawiał się Czermak.

— Zabieraj, chłopcze — wtrącił pryncypał — myśmy też dostali. Patrzcie, mam jeszcze coś. Oto biedna Marynkowa przyniosła mi trochę tytoniu, naturalnie przemycany to towar, za który, rozumie się, zapłacę. W tem przebija się prawdziwie dobra matka; żebraczką jest, ale dla dzieci robi, co może.

— Przygotuję panu długi cybuch, to nieraz urządzimy sobie duet.

— Pan preceptor nie umie pewno palić—z uśmiechem zauważyła pani.

— Musi się przyuczyć, porządek tago wymaga.

Czermak, wróciwszy do swego pokoju, zabrał się do czytania „Kwiatów". Postanowił sobie, że będzie wiele czytał, żeby wiedzieć przecież, co się w Czechach dzieje i módz zrozumieć tych dwóch patryotów.

. . . . . .

Przed południem byli w kuchni starzy Żalakowie dla obstalowania pogrzebu. Narzekali, płakali bardzo.

— Chowaliśmy, pielęgnowali nasze dziecko, niby oko w głowie i odeszło od nas!...

— Ileśmy nocy niedospali, ledwie nam ręce nie odpadły od pracy, wszystkośmy robili jeno w tej myśli, by jemu lepszą przyszłość zabezpieczyć. A tu przyszła ta wygłodniała księżniczka, obca zupełnie i wszystko zabierze. Ja go tak prosiłam: nie żeń się z nią, daj pokój—napróżno perswadowałam. Już się zleciało całe stado: ojciec, matka, kilkoro dzieci, a my patrzeć się mamy, jak się rozpanoszają za nasz grosz krwawo zapracowany.

— Wszystko jej oddał, wszystko?—pytała ciekawie pani kantorowa.

— Wszystko, wszyściuśko! Proboszcz tyle wyjednał, że nam zapisał większe dożywocie. Oj ludzie, ludzie, to jest nieszczęście! Ojciec jej krawcem, matka przekupką, a córka zostaje właścicielką takiego młyna, jakiego nie znajdziesz w całej okolicy. Co mnie się dzieje, gdy sobie przypomnę, ile to nocy nie spałam, ile razy sobie od ust odjęłam i to na to, żeby teraz ta wiedźma zadrapała. Czyż można nie płakać, rąk nie załamywać?! A syn nasz, jakbym go na rękach nie nosiła, zapomniał o nas, jej się tylko oddał, jej jedynie!...

Stary Żalak podczas jeremiad żony kiwał głową i żałośnie wzdychał.

— Cóż młoda porabia? płacze?

— Ot płacze dla ludzi jeno, nie z bólu; chodzi wciąż, jako królowa Saba, do nikogo nie mówi, o nic się nie zatroszczy. Gdyby nas nie było, młynarczycy i młynby rozebrali. Prosimy więc o piękny pogrzeb: całą kapelę, śpiewaków, o *Rekwiem* śpiewane—słowem wszystko wspaniałe.

— Niech państwo drogo zacenią—wtrącił stary, ożywiając się trochę, niechaj wszystkiego nie połknie, niech i drudzy zarobią i mają pamiątkę po naszym chłopcu. Proboszcz zaprosi również księdza z Wietrona, będzie zatem i druga msza uroczysta w jasnym kolorze.

— Mamy z tem, mamy kłopotu! Wszystko na naszych barkach. Gdyby dziecko zostało, słowabym nie rzekła, ale tego nie powinien był uczynić nasz Lojziczek, nie powinien nas zostawiać w bezbrzeżnym smutku!...

. . . . . .

. . . . . .

Zaledwie minęło południe, w klasie zaroiło się, jak w ulu. Dzieci biegały, wskakiwały na i pod ławki.

O pierwszej zjawili się obydwaj nauczyciele. Ukazanie się ich we drzwiach wystarczyło do zupełnego uspokojenia rozweselonej dziatwy, która w jednej chwili zajmowała swe miejsca. Tylko pucołowaty Joza Tobias w pośpiechu niezręcznie przechodził, pośliznął się i upadł. Podniósł się prędko, był czerwony, jak burak, usta zacisnął i wytrzeszczonemi oczyma patrzył na kantora, wreszcie zawołał płaczliwie:

— Zawadziłem się i „głuchnolem," przyczem tak się wykrzywił, że bez śmiechu nie można było spojrzeć na niego.

— Usiądź, a drugi raz nie wychodź z miejsca, bo nogę złamiesz—napomniał pomocnik.

— Przez ławki nie wolno chodzić—groził nauczyciel.—Niektórzy z was zapomnieli o tem, cośmy im rano powiedzieli; tupali w sieni i trzaskali drzwiami.

— To Wacek Plochaska—ze łzami jeszcze skarżył Tobis—on rano nie był.

— Kiedyśmy wracali rano ze szkoły, Jose rzucał we mnie kule śnieżne—piskliwie użalała się Toniczka Hejnowa.

W czasie tych skarg starsi uczniowie, pochyleni na ławkach, syczeli złośliwie. Milcz, milcz! słychać było tylko czasami.

Pan kantor stanął przed ławką, skinął i wszyscy uczniowie powstali; było ich o pięcioro więcej, niż rano. Po odmówieniu „Ojcze nasz" i „Zdrowaś," pryncypał dla drugiego oddziału napisał wzór kaligraficzny: „Szanuj swych rodziców za życia ich, módl się za nich po śmierci." Starsi pisali, młodszym zaś pokazywał preceptor litery w książce i w abecadle składanem, najmłodsi mieli się przysłuchiwać tylko.

Pan kantor przez chwilę obserwował pomocnika, następnie usiadł przy stole i wyjął z szuflady gruby zeszyt z podpisem na pierwszej stronicy:

rozpoczęty dn. 28 Marca 1842 r., zawierający opis, w jakim porządku odbywają się lekcye w oddziale pierwszym i drugim w szkole w Pozdietynie.

Odwróciwszy stronę tytułową, ponumerował następnie i zaczął pisać:

„*Poniedziałek, 28 lutego, rano.*

„Pogoda była brzydka; śnieg padał bezustannie, mroźno przytem było i wietrzno; drogi zasypane utrudniały dzieciom przedostanie się do szkoły.

„Przez całą zimę panowała tu ogromna bieda, muszą więc przychodzić do szkoły, żeby w niedzielę przynajmniej dostać kawałek chleba, którego nawet nie widzą przez cały tydzień.

„Po nabożeństwie ksiądz, starosta, rodzice uczniów i uczniowie zebrali się w klasie. Proboszcz miał do dzieci przemowę o posłuszeństwie, dobrem sprawowaniu, pilności i pożytku z nauki, w szkole otrzymywanej; starosta też wtrącił parę uwag; następnie pan preceptor odczytał przepisy szkolne, kantor je objaśniał, poczem odmówiono serdecznie modlitwę."

Wacław Prochazka bez powodu zaczął głośno płakać. Byłto drobny chłopaczek, zaledwie go było widać z ławki; twarz miał okrągłą, pucołowatą, z małemi oczyma; jasne włosy opadały mu na czoło.

— Co się stało Wacławkowi?—pytał się pomocnik.

— Chcę pójść do do-o-mu!—rozpaczliwie krzyczał Prochazka.

— Czegoż ci się, Wacławie, zachciewa? Przecież niedawno matka odeszła. Ot masz to, a bądź

grzecznym—mówił nauczyciel, dając mu dwudziestówkę, którą matka zostawiła dla chłopca.

Wacławek wziął srebrny pieniądz, położył go na dłoni, obejrzał, spokojnie wsunął do kieszeni starej aksamitnej kurtki i znów się rozpłakał.

— Zaczekaj, coś ci pokażę—odezwał się kantor, otworzył szafę i wyjął z niej książkę z malowanemi zwierzętami, między któremi pomieszczono i bociana.

— Widzisz, jeśli będziesz grzecznym, obejrzysz tę książeczkę; patrz, jaki długi dziób ma ten ptaszek!.

— Hm, nasze prosię miało jeszcze dłuższy dziób — zawołał Józek Tobias i pogardliwie wydął wargę.

Cała klasa serdecznie się roześmiała, a jedna z dziewczynek z oburzeniem powiedziała:

— Jakiś ty głuptas! Przecież prosię niema dzioba, tylko ryj.

— To jest bocian—nachylając się przez ławkę, objaśniał Roubal swemu młodszemu bratu.

Franciszek uśmiechnął się i kiwnął głową na znak, że rozumie dobrze.

Wacławek stał przez chwilę zachmurzony, potem, uspokojony już, poszedł na swoje miejsce.

Kiedy najmłodsze dzieci przestały sylabizować, starsze czytały, kantor przeglądał kajety, rachował z uczniami.

Po trzech godzinach nauki dzieci odmowiły modlitwę, a gdy je pomocnik wyprowadził z klasy, nauczyciel pisał w dzienniku:

„PO POŁUDNIU:

„Przez pierwszą godzinę starsi pisali, kilku z nich czytało kolejno, następnie odrabiali rachunki, przecho-

dząc od samych początków do dodawania; dalej odbywało się czytanie z młodszymi. Po ukończeniu tego najwięksi pokazywali kaligrafię, nauczyciel zaś poprawiał omyłki. Modlitwa zakończyła naukę."

Pomocnik wyprowadził dzieci przez podwórze i patrzył za niemi długo. Szły w porządku, oglądały się jednak bezustannie. Wacław Prochazka, ręce trzymając w kieszeniach, w czapce futrzanej, aż na uszy wsuniętej, kroczył poważnie, wchodząc w największy śnieg. Roubalowie szli prędko, Hejnowa postępowała wolno. Józek Tobias, z zeszytem pod pachą, rozglądał się po dolinie, oblanej w tej chwili słonecznemi promieniami. Nad lasem ukazało się stado kraczących wron, które pofrunęły do boru w stronę zachodnią.

Wrona leci,
Niema dzieci:
My je mamy,
Nie sprzedamy!

zaśpiewał Wacek, wybijając takt swym zeszytem.

Wkrótce potem pomocnik, siedząc nad książkami, usłyszał stukanie do drzwi. Starszy Roubal wszedł do pokoju, zmieszany bardzo i wypowiedział jednym tchem:

— Panie preceptorze, dziadzio przesyła panu pozdrowienie i tego kosa, żeby pan o Franciszku pamiętał, i postawił na stole wielką klatkę drewnianą.

Zdumiony pomocnik przyglądał się kosowi.

— Dziadzio tak lubi tego kosa, jakżeż się bez niego obejdzie?—pytał serdecznie.

— Powiedział, że pana bardzo lubi, że pan będzie pamiętał o kosie. Ot, tutaj jest trochę dla niego robaków.

— Pozdrów odemnie dziadka, podziękuj za po-

darek i proś, żeby mnie kiedy odwiedził dla zobaczenia choćby kosa; jeśliby po nim bardzo tęsknił, to zwrócę go zaraz.

Chłopiec ucałował rękę młodzieńca i oddalił się szybko.

— Panie nauczycielu! Proszę pani!—wołał przez sień pomocnik.

Przybiegli, jak na koniu.

— Proszę patrzeć, co mi to przysłał stary Roubal.

— Widzisz, bracie, widzisz, że prawdę mówię. Są to wszystko biedacy, ale serca mają lepsze od tych... i wszyscy przyglądali się niespodziewanemu podarunkowi, jakby dzieci.

VIII.

Przez całą noc z wtorku na środę gwałtownie tajało, a rano zaczął padać drobny, gęsty deszcz. Ciemne mgły unosiły się nad całą wioską. Tłukły po dolinach, zasnuwały bory. Ze strzech kapało, z drzew opadały resztki śniegu i kawałki sopli. Na ziemi, a głównie na drodze był wilgotny, miękki, brudny śnieg. Bezustannie padały drobne, kolące, jakby igielki deszczowe.

Podczas to tego niepogodnego, wilgotnego dnia, prowadzono zwłoki Żalaka na miejsce wiecznego spoczynku.

Doliną, pośrodku której bystry płynął potok, otoczoną ciemnemi lasami, pełną mglistych, niezdrowych oparów, podążał kondukt pogrzebowy. Wszyscy , począwszy od pierwszego chłopca, niosącego w czerwonych od mrozu rękach krzyż, aż do ostatniej żebraczki, wszyscy szli skuleni, zziębnięci.

Trzej chłopcy i dwie dziewczynki, spieszący za krzyżem, byli bardzo przygarbieni, czapki i chustki mocno nasuwali na czoło; ręce trzymali w kieszeniach, wyjmując je co chwila dla otarcia twarzy.

Za dziećmi postępowało dziesięciu muzykantów w dwu rzędach. Wyglądali na zmęczonych, jakby po całonocnej muzyce. Kolana wprost im się uginały.

Adam Hejn, który zwykle maszerował jak generał, doskonale trąbiąc, szedł też zgięty; długie, wilgotne, rozwichrzone wąsy, zwieszały się mu aż na brzegi brody.

Zaczęli grać w szybkiem tempie, jakby na wesele, tony jednak były niewyraźne, szare jak ta mgła.

Basista Pażout zaczął dąć w swój bombardon; zdawało się, że go upuści za chwilę na ziemię, oczy przymykał niby ospała kura; klarnecista Szwejc układał usta w ten sposób, jakby miał ocet na języku, cała zaś jego twarz wykrzywiała się dziwacznie. Za muzykantami kroczyli obaj nauczyciele i mali śpiewacy, za nimi dwaj duchowni. Miejscowy proboszcz, Prokop Stehlik, w czarnej kapie i ksiądz Chwala z Wietrowa w komży. Proboszcz kiwał się w jednę i drugą stronę tak, że omało kapa nie wlokła się po ziemi. Ksiądz Chwala był postawnym, wysokim czterdziestoletnim mężem, o twarzy okrągłej, dużych, jasnych oczach, ciemnych włosach, nieco siwizną przyprószonych. Z biretem ku tyłowi głowy nasuniętym; ze świecą w ręce, szedł prosto, jakby w najpiękniejszą pogodę; obok proboszcza wyglądał jak rycerz przy biednym, opuszczonym wieśniaku.

Sześciu sąsiadów niosło trumnę, kirem pokrytą. Z tyłu pochodu postępowało pospólstwo, z którego przedostawał się suchy, chrypliwy głos kalikanta Lusztinca; odmawiał „Ojcze nasz," a tłum głucho, bezdźwięcznie mu odpowiadał.

Na początku wioski muzykanci zagrali Psalm, śpiewacy odśpiewali jednę strofkę, kondukt pogrzebowy postępował pomiędzy chałupami.

Wieśniacy wychodzili z domów, jedni przez ciekawość, inni dla przyłączenia się do pogrzebu.

Kiedy muzykanci i śpiewacy weszli na chór, Albinka stała już tam przy baryerze. Pryncypał ujął ją pod brodę, poklepał po ramieniu, pomocnik zaś powi-

tał ją serdecznem spojrzeniem. Albinka roześmiała się i w spojrzeniu nie została dłużną.

Pan kantor pośpiesznie wyjął z szafy instrumenty muzyczne, z kąta wyciągnął basy i rozdał nuty do *Requiem;* młodzieniec stroił skrzypce, a stojąc tuż obok Albiny, spoglądał na jej zarumieniony policzek, na uszko owinięte w pukle złotych włosów i na warkocz o metalowym połysku.

Patrzyła ona na kościół, wiedziała jednak doskonale, gdzie błądzą oczy Czermaka.

Podczas *Requiem*, pomocnik grał na organach, a muzykanci szeptali, iż gra wybornie, jak stary już grajek. Pryncypał dudnił na basach, czasami wybijał takt swym wielkim smyczkiem. Na skrzypcach grał: Hejn, Pejszoch, Skrziwan; na klarnecie, Szwejc z Tolarem; na trąbie, Cziszka i Pażout. Pryncypał grał na basach, śpiewając przytem.

Adam Hejn, nizki, barczysty, czterdziestoletni wieśniak podczas przerwy stał wyprostowany, podkręcał swe wąsy, nie spuszczając oczu z pomocnika.

Po mszy przy organach zasiadł kantor, preceptor zaś stanął obok Albiny. Podczas *Libera* zaśpiewał tenorowe solo.

— A to pan zmokł, panie nauczycielu — szeptała, nachylając się ku niemu.

— Zmokłem, gdyż ani na chwilę nie przestało padać—powiedział z uśmiechem.

Objąwszy ją serdecznem spojrzeniem, znów przeniósł wzrok na kościół.

— Myślałam o panu w czasie ulewy—dodała.

Preceptor chciał odpowiedzieć, lecz, niestety, nie przyszła mu na myśl żadna odpowiednia piękna odpowiedź. Wczoraj wieczorem ułożył sobie cały szereg rozmów, ale i dziś, jak zwykle, nie wiedział, co powiedzieć.

Albina rozłożyła książkę do nabożeństwa, przeczytawszy jednak parę zaledwie wierszy, znów podjęła rozmowę półgłosem:

— Nieprawdaż, ten pogrzeb dziwnie jest smutny? Biedny Żalak!

Pomocnik potwierdził skinieniem głowy.

— Nie sądziłem, że tu panienkę spotkam — przemówił nagle z wielkiem zadowoleniem, iż znalazł udatne zapytanie.

— To dlatego tak się pan zachmurzył przy zobaczeniu mnie—mówiła cierpko, ale oczy patrzyły na niego bardzo jasno.

— Nie zachmurzyłem się, bezwarunkowo nie — odpowiedział cały zaczerwieniony.

— Dopóki jestem w Pozdietynie, chętnie panu dopomogę swym śpiewem.

Adam Hejn wciąż stał za nim, obserwując ich, marszczył czoło i targał wąsy.

Pażout uderzył go w ramię, a gdy się obejrzał, szepnął:

— Zdaje mi się, że miłość twarz im rozpromienia.

Adam jeszcze mocniej zmarszczył czoło i patrząc ku ziemi, mruknął:

— Wyszłoby z tego pewno licho.

Skoro młodzieniec przy akompaniamencie organów śpiewał, Adam stanął jak wryty, szepnął wreszcie Pażoutowi:

— To zuch chłopak.

Klarnety żałośliwie zawodziły, psalm „Zmiłuj się nademną, Boże" rozlegał się po cmentarzu, kondukt wychodził z kościoła.

Z ciemnych, ołowianych chmur spadały bezustannie grube krople deszczu. Grabarz Zit, stojąc nad

świeżo rozkopanym grobem, rozkazywał, jak i gdzie mary ustawić należy. W jednej kieszeni płaszcza sterczała mu czapka, w drugiej fajka. Białe jego włosy pozlepiane były, po sinawej twarzy spływały strugi wody.

Proboszcz donośnym głosem odmówił modlitwę łacińską najpierw — czeską później. Głęboka cisza panowała dokoła, przerywał ją jeno plusk jednostajny deszczu.

Pomocnik słuchał przejmujących słów modlitwy, rozglądając się po obecnych.

Rodzice Żalaka stali zgarbieni, znękani, patrzyli z rozpaczą na mogiłę rozwartą. Młodą Żalakowę poznał zaraz po stroju miejskim, nie widział jednak jej twarzy, przysłoniętej olbrzymim czepkiem.

Kapłani zaintonowali „Kyrye eleyson," śpiewacy im odpowiedzieli.

Żalakowa podniosła głowę, zwróciła wzrok ku śpiewakom, następnie przez chwilę uparcie jakoś wpatrywała się w pomocnika. Ten, spotkawszy się z jej wejrzeniem, zdumiony, przyglądał się ciekawie, wreszcie uśmiechnął się pobłażliwie.

Żalakowa była rzeczywiście piękną kobietą: średniego wzrostu, o ciemnej twarzy, z wielkiemi ognistemi oczyma. Z całej jej postawy tryskało zdrowie i siła.

Spojrzenie Czermaka nie uszło uwagi kantora, to też zaledwie księża zaczęli „Ojcze nasz," zapytał:

— Toż ją znasz i ona ciebie również?

— Tak, z Iczyna—szepnął pomocnik—tam dalej stoją jej rodzice; mieszkałem dawniej blizko nich.

— Synku nasz drogi, synu jedyny, coś ty nam uczynił! Matko bolesna, Chryste Jezu, coś Ty na nas spuścił — wołała stara Żalakowa i z rękoma kurczo-

wo zaciśniętemi rzuciła się na trumnę, łkając boleśnie.

„Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki. Amen!" — mówili księża i śpiewacy.— Muzykanci zagrali psalm, sąsiedzi wzięli powrozy.

— Nie przeżyję cię, Lojziczku mój jedyny — przenikliwie zawodziła matka, ojciec łkał wstrząsająco.

Młoda wdowa stała pochylona, a trzymając chusteczkę w rękach, głośno zapłakała. Kto był na cmentarzu, tylko na nią patrzył. Kobiety płaczliwie szeptały: Młoda serdecznie też płacze; mężczyzni, spoglądając na zgnębioną twarz pięknej kobiety, z oczu której toczyły się łzy wielkie, sami się rozrzewniali.

— Niech wam wszystkim Chrystus wynagrodzi za to, żeście do grobu odprowadzili nieszczęśliwe nasze dziecko—wołała zbolała matka.

Grudy ziemi sypały się na trumnę początkowo często, z silnym stukiem, potem coraz wolniej i ciszej, wreszcie słychać było jeno poruszanie się łopaty grabarskiej.

Z kościoła rozległy się dźwięki organów, proboszcz z Wietowa zbliżał się do ołtarza. Miał na sobie zielony już ornat, ze świątyni również usunięto wszelkie żałobne ozdoby. Zamiast smętnych tonów, rozbrzmiewających przed chwilą, odezwała się wesoła melodya mszy Kramera. Pan kantor śpiewał wszelakie sola: basowe, tenorowe, wszystkie z pamięci, a nader donośnie.

Po mszy świętej obaj kantorowie szli z Albinką na plebanię.

— Czy uwierzysz, Albinko, że pan nauczyciel zna Żalakową—opowiadał pryncypał.

— Zna?—pytała zdziwiona.

— Z Iczyna—objaśniał Czermak; mieszkali o dwa domy od nas; stary był krawcem, matka handlowała, miała ona wózek, dwa psy i jeździła do wsi po mleko. Nieraz, gdym swoich do Lan wyprowadzał, spotykałem ją, jak wiatr pędzącą.

Ta dzisiejsza Żalakowa była roztrzepana, rozdokazywana, niesforna, jak chłopak; biegała tylko, śpiewała, nigdy nie usiedziała spokojnie. Nazywaliśmy ją Emką Balonówną, a gdy się wymówiło jeno Emka, rozumiał każdy, że to oznacza takiego urwisa, dyablika wprost. Wówczas miała czternaście lat, potem oddali rodzice na służbę i więcej już jej nie widziałem, aż teraz dopiero przy grobie. Ale to ona napewno; starych również poznałem, choć się trochę zmienili.

— I ona cię poznała? Doprawdy, ani człowiek nie wie, gdzie i kiedy spotka znajomych — śmiał się pan kantor.

— Toż nie moi znajomi, nie rozmawiałem z nimi nigdy.

Nagle, pod wpływem wspomnienia, roześmiał się serdecznie.

Jednego dnia przed wieczorem stał we drzwiach domu, w którym mieszkał na końcu Małego Przedmieścia i przypatrywał się ruchowi ulicznemu.. Naraz z góry, z Wielkiego Przedmieścia wybiegła ta dzika Emilka Balonówna; ciemne jej włosy opadały na twarz, na nogach miała domowe pantofle, spódniczka perkalowa przylegała do ciała, a pod czerwonym kaftanem uwydatniał się młody biust. Biegła, śpiewając. Nagle zatrzymała się przed nim, różyczkę, jaką w ręce niosła, podsunęła mu pod nos, zachichotała się i uciekła. Innym razem goniła go na ulicy i za brodę ujęła. Słowem, jak ulicznik—zakończył wspomnienie pomocnik.

Nauczyciele znaleźli się wkrótce w pokoju. Albinka wyszła do kuchni. Oczy miała pełne łez. Po-

łożywszy książkę na łóżko, w milczeniu się rozbierała.

— Czemuż tak milczysz i nic mi nie opowiadasz?—dziwiła się Pepiczka.

— Bo pada deszcz, bezustannie pada—pochmurnie odparła.

— Cóż, czy Żalakowa płakała?

— Tak, płakała—potwierdziła, patrząc w okno.

— No, nie stój bezczynnie, zabierz się do roboty, mamy przecież na obiedzie proboszcza z Wietrowa.

— Ale, ale, wiesz cioteczko, pan preceptor zna Żalekową z Iczyna.

Obróciwszy się nagle, zaczęła opowiadać wesoło. A kiedy Pepiczka przenikliwie na nią spojrzała, ciągnęła dalej:

— Zna ją, zna; nazywała się Emma Balonówna, a była podobno nieznośnym łobuzem.

— Tak, nazywała się Balon, lecz mówiono, że z Pragi pochodzi—rozmyślała Pepiczka.

— Pewnie się przeprowadzili; widział również starych rodziców i Żalakowa go poznała — zauważył to sam pan nauczyciel.

— Otóż to znaczy szczęścia szukać z Iczyna w Pradze i znaleźć je tu pod samemi górami, w postaci takiego wspaniałego młyna! Niech ją Bóg ma w swej opiece — dodała Pepiczka, polewając pieczeń tłustym sosem.

Skoro nauczyciele weszli do pokoju, do księży, proboszcz ujął pomocnika za rękę i prowadził go do księdza z Wietrowa.

— Oto Słowianin! Wszak pięknie śpiewa, trzeba mu to przyznać, że jest doskonałym śpiewakiem. Witam was obu, witam—mówił serdecznie.

— Jak się panowie miewacie?—podając rękę, witał ksiądz Chwala. — Życzę ci, młodzieńcze, aby ci się tu w górach podobało.

— Ślicznie dziękuję, już mi się zaczyna podobać.

— Pragnęlibyśmy, żeby ci się podobało w górach tak, jak nam wszystkim; my obydwaj jesteśmy czystej krwi górale, ksiądz proboszcz prawie też ztąd pochodzi. Górale, to odrębny rodzaj ludzi, cały ich świat w górach. W Wietrowie urządziliśmy cmentarz w ten sposób, aby i nieboszczycy patrzyli na góry, aby nie tęsknili. Każdy ma przed sobą te urocze miejscowości od „Babiego Kąta," aż do Plechu, Kokvhaczi ku Sziszakom i Kozim Grzbietom—wolno, z przejęciem mówił ksiądz Chwala.

— W lecie błękitnieją im, w zimie błyszczą i iskrzą się — dodał wesoło proboszcz, zażywając tabakę.

— Co porabia, jak się miewa ksiądz dobrodziej?—pytał pryncypał.

— Dziękuję; ot tak, jak w Wietrowie; zawsze sporo jest pracy, mamy też dość książek, to i czas szybko mija. Przywiozłem „Kwiety" za styczeń i luty, lecz to niechaj pana nie wstrzymuje od zajścia do Wietrowa. Proszę, odwiedźcie mnie prędko wszyscy trzej.

— Co porabia pan dziekan? — pytał kantor dalej.

— Dziękuję za pamięć; siedzi wciąż przy stole, pochylony nad swoją historyą. Od dwu lat rozbiera panowanie Napoleona i wszystkich jego generałów. Każdą bitwę tak studyuje, jak gdyby jutro już wybierał się na wroga. W południe opowiada mi o tem, kończąc zwykle: Tak, wielebny bracie, zuch był, zuch ten Korsykanin! a oczy przytem błyszczały mu iskra-

mi. Jest on bardzo szczupłym. bezsilnym, zaledwie pokój przejdzie—mówił kapłan łagodnie.

— Osiemdziesiąt lat panu dziekanowi, Franciszku! Ciało już upada, ale duch pełen życia i ognia— dorzucił proboszcz, wpatrując się w młodzieńca.

— W Pradze zaczynamy się poruszać: trzeci bal 20-go lutego świetnie się udał, sam arcybiskup Schrenk przysłał setkę srebra!

— Kto, kto, bracie w Chrystusie? — żywo zagadnął proboszcz.

— Arcybiskup, setkę srebra i napisał, iż z przykrością z powodu choroby nie może się stawić osobiście.

Proboszcz zaczął się przechadzać nadzwyczaj szybkim krokiem.

— Windischgrätz sam polecił dostojnikom, żeby się licznie zebrali.

— Windischgrätz... dostojnicy — powtarzał proboszcz, zatrzymawszy się na chwilę i znów zaczął przechadzkę po pokoju.

— Burgrabia hr. Chotek był jednym z pierwszych, powiedział: „Przeczuwałem, iż będzie wielki ścisk, więc wcześniej przychodzę zająć dobre miejsce."

Pan nauczyciel siedział z ręką o stół opartą, proboszcz stał przed księdzem, chwiejąc się ze wzruszenia.

— Było tam wiele rodzin, wielu patryotów, sale zaledwie gości mieściły, a wszystko było prześlicznie urządzone: loże, słupy, przybrane kwiatami, iskrzyły się tysiącem świateł, orkiestra pułku Latoura doskonała, utwory Gutmannsthala, Swobody, Prochazki i Ulwera rozentuzyazmowały zebranych. A jakie nazwy mają te kompozycye: „Słowanka," „Sen Żyżki," „Brzetysław."

— Więc burgrabia był obecnym? — z niedowierzaniem pytał powtórnie proboszcz.

— Był, był i podobno bardzo zadowolony, wciąż powtarzał: „wszak dosyć jest Czechów!"

— *Deo gratias! Deo gratias!* — wyrzekł ksiądz Stehlik z oczyma pełnemi łez radości.

— Musimy dostać te nowe utwory, bracie!—zaczął pan kantor—przeszłorocznego „Dalibora" i „Horymira" [1]) mieliśmy również.

Ksiądz Chwala z uśmiechem spoglądał na proboszcza, stojącego przy oknie ze skrzyżowanemi rękowa, w dal zapatrzonego.

— Tak, dobrze, dobrze, tylko wytrwale, patryoci, Bóg nam pobłogosławi! Czyż ci nie mówiłem, ty niewierny Tomaszu! — zwrócił się proboszcz ku nauczycielowi. Oto masz: burgrabia, arcybiskup, generałowie.

— Jednak i ja mam racyę. Zabawią się chętnie z nami, ale i wkrótce zapomną, a my się tak cieszymy...

— O szczegółach dowiecie się tu — ciągnął ksiądz Chwala, podając pomocnikowi „Kwiaty." Proszę, przeczytaj pan głośno.

Wszyscy otoczyli młodzieńca, on zaś czytał:

„Dobre wspomnienie, jakie zostawiły po sobie dwa przeszłe bale publiczne, na których język czeski w rozmowie ogólnej pierwsze miejsce zajmował, zachęciło niezmordowanych inicyatorów zabawy, jak i tych wszystkich, co postęp, rozwój mowy ojczystej głębiej odczuwają, do zajęcia się w tym roku urządzeniem podobnego wieczoru. W przekonaniu, że towarzystwo praskie poprze ich starania, najęli ogromną salę u Sztajgrub."

— Przy ulicy Różowej—dorzucił proboszcz.

---

[1]) Utwory muzyczne Gutmannsthala.

„I nie zawiedli się. W naznaczony dzień od siódmej do dziesiątej godziny wieczorem zjeżdżały się całe szeregi pojazdów. Schody, pokryte pąsowemi chodnikami, ozdobione najdelikatniejszemi dywanami i zwierciadłami, prowadziły do kilku małych pokoików, z których jeden, pełen białych i pąsowych draperyj, wyróżniał się artystycznym wyglądem, służył on za bufet."

— Urządzają to iście po kawalersku — zaśmiał się głośno proboszcz.

„Przy wejściu rozdawano tancerkom przepięknie oprawne i drukowane, z artystycznie wykonaną winetką i tytułem, książeczki, obejmujące zbiór najulubieńszych poezyj czeskich, z dodatkowym porządkiem tańców."

Proboszcz oparł nogę o nogę, podparł brodę, więcej się jeszcze nachylił, by nie opuścić ani słówka.

„Sala balowa przedstawiała się wspaniale. Potrójna galerya z lożami, przeznaczona dla widzów, ozdobiona była zwierciadłami, zawieszonemi na białych i czerwonych sznurach; posągami greckich bogów i bogiń wśród festonów pąsowej, białej materyi, cała gorzała od świateł lamp i świec. Na lewo z sali wchodziło się do buduaru damskiego. Przy wejściu stało ogromne lustro, obok niego pyszne świeczniki, w głębi widać było czarowny zakątek z mnóstwem woniejących roślin i wodotryskiem pośrodku, a w dali między kwiatami pomieszczono popiersie cesarza, u stóp ego artystycznie wykonanego czeskiego lwa."

— Brzmi to jak opowieść o kryształowym pałacu—z uśmiechem zauważył nauczyciel.

— Ci prażanie to umieją wszystko ładnie urządzić—dorzucił proboszcz.

„Z tyłu tej, jakby świątyni, stały cztery posągi

kobiece, z wieńcami róż białych i czerwonych, nachylone, niby gotowe do uwieńczenia obywatela kraju. Statuy te były powodem przeróżnych domysłów. Jedna z naszych gorących patryotek widziała w tych posągach, przedstawiających prawdopodobnie grecką Hebę, uosobienie Czeszki, Morawianki, Szlązaczki. Ze słupów zwieszały się pąsowe zasłony, prowadzące do właściwej gotowalni kobiecej, dla nas profanów niedostępnej. Widziałem jednak najpiękniejszą jej ozdobę: szereg uroczych pań i panien.

„Lecz wróćmy do sali. Z najwyższej galeryi dochodziły upajające dźwięki orkiestry, pod batutą Brochazky, utwory którego cieszą się obecnie ogromnem powodzeniem. Najnowszy jego walc „Brzetysław," złożony z kilku ulubionych pieśni czeskich, budził zachwyt tancerzy, snujących się wdzięcznie po sali. Również zręcznie tańczono kadryla i menueta."

— Mybyśmy tego nie dokazali, powiedzcie, menuet, kadryl, nie, nie — mówił proboszcz, trzęsąc się ze śmiechu.

„Muzyka ucichła, wokoło słychać głośną rozmowę trzechtysięcznego towarzystwa, to rozbrzmiewa język nasz, czeski, tak śpiewny w ustach naszych patryotek. Gościnnie przyjmujemy i cudzoziemców, byli bowiem: Niemcy, Prusacy, Bawarczycy, Holendrzy. Na wszystkich twarzach malowało się miłe zdumienie, radość i wesele. Znikły różnice stanu, wszyscy, bawiąc się wspólnie, stanowili jakby jednę rodzinę!"

Co z nas Słowian będzie za lat sto?
Co będzie z zachodniej Europy?
Słowianie rozleją się po świecie, niby potop,
A język ich, pogardzany przez tentorów,
Zabrzmi w pałacach i ustach królów... [1])

[1]) Ustęp z „Córki Sławy" Kollara.

Stojąc przed portretem Kollara, deklamował z przejęciem proboszcz Stehlik, a zwracając się ku gościom, dodał:

— Już się zaczyna, już się przebudzają!...

— Daj Boże!—gorąco zauważył pan kantor.

— Rad jestem bardzo, żem wam przywiózł miłą wieść — z uśmiechem zadowolenia powiedział ksiądz Chwala.

— Rozradowałeś nas, panie bracie, na długie czasy! Niech ich tam Bóg błogosławi! Złota, ni srebra nie posiadamy, lecz oddajemy im naszą miłość. Matka ojczyzna biedną jest matką, biedna macierz miłością tylko płaci—mówił proboszcz.

— Teraz już wiedzą o nas, jużeśmy widoczni; gdyby tylko inny wiatr zawiał do polityki, wszystkoby się zmieniło—ciągnął zamyślony proboszcz z Wietrowa.

Była chwila głębokiej ciszy.

— Serdecznie dziękujemy — rzekł kantor, wstając z pomocnikiem — już musimy wracać do domu. Panu dziekanowi załączam pozdrowienie i wyrazy szacunku.

— Dziękuję, dziękuję, powtórzę to, będzie zadowolony, często się bowiem pyta, kiedy nauczyciel z Pozdietyna przyjdzie na dłuższą pogawędkę. Niech się pan przygotuje zawczasu na Napoleona i jego wojny.

— Żegnam was, przyjaciele; nie każcie na siebie zbyt długo czekać, znajdzie się u mnie zawsze coś nowego—uprzejmie zapraszał ksiądz Chwala.

— Przyjdziemy, wielebny panie, przyjdziemy — już w drzwiach przyrzekał nauczyciel.

Fanna Pepiczka z Albinką wybiegły na drogę.

— Już od nas uciekacie? Proszę się żonie pokłonić!—wołała Pepiczka.

— Dziękuję, do widzenia!

— Proszę, przyjdźcie, panowie, niezadługo.

— Jakże ci się podoba, bracie, ksiądz z Wietrowa? — zapytał pan kantor jeszcze na cmentarzu.

— Jak nasz, jeden do drugiego bardzo podobny — odpowiedział młodzieniec z przejęciem.

Pryncypał roześmiał się.

— Zobaczysz, zobaczysz, że teraz będą mówić o deficycie tego czeskiego balu i poślą tam pewną kwotę, lecz nikt się o tem nie dowie.

— Deficyt wynosi podobno dwa tysiące.

— To też dlatego, dlatego...

— Czemuż ksiądz Chwala tak długo jest w Wietrowie, a nie idzie na probostwo? — zapytał pomocnik.

— Ztamtąd pochodzi i ogromnie go tam lubią. Założył stowarzyszenie: „Słowiańska Lipa," które kupuje książki, urządza przedstawienia amatorskie, zebrania literackie, zabawy. Zapewne po dziekanie odziedziczy i probostwo; czy słyszałeś, jak się wyrażał o naszych górach? On już im wiernym zostanie! Wikary zbytecznie go nie lubi, ale to już zupełnie inna sprawa.

— Chodźmy, aby prędzej znaleźć się pod dachem.

Deszcz nie przestawał padać.

Kiedy weszli do sali szkolnej, pryncypał kończył swe opowiadanie:

— Hrabina Waldfryd z Milowa jest bezdzietną wdową, ale siostra nieboszczyka ze Skały miała syna Włodzimierza, ulubieńca naszej pani. Młody hrabia z matką bywali w Milowie na zamku; ksiądz Chwala został wychowawcą i nauczycielem hrabicza, który go bardzo polubił. W tym czasie obecnego wikarego

mianowano proboszczem w Bruskowie. Przez zaprowadzenie różnych nabożeństw dodatkowych, obchodzenie odpustów, zyskał prędko przychylność hrabiny. Wikary niechętnie patrzył na nauczycielstwo ks. Chwały, przyjaźniącego się z dziekanem Nedobem, równym jak on, patryotą Czechem. Hrabina ma dobre serce, ale podawnemu, jak to bywa teraz we wszystkich prawie pałacach i zamkach, jest szlachcianką przedewszystkiem i więcej Niemką, niż Czeszką.

— U nas w miasteczku podobnież się dzieje; mieszkają tam od dzieciństwa, nie łączą się jednak z naszym ludem, nie przemówią nawet po czesku — przerwał pomocnik.

Pan kantor, potwierdziwszy skinieniem głowy, mówił dalej:

— Hrabina ze Skały mniej była zamożną, majątek miała niewielki, przeto zbliżyła się do swego ludu. Ksiądz Chwała chciał wychować Włodzimierza również w czeskim duchu, co wikaremu, Niemcowi rodem, i innym magnatom nie podobało się wcale.

Nie wiem kto i jak to przeprowadził, dość, że Włodzimierza wysłano do Pragi, zaś ksiądz nauczyciel, niby na własne żądanie, powrócił do Wietrowa. Hrabia pozostał tam już na stałe, cieszy się już mniejszą życzliwością hrabiny, zwłaszcza od czasu śmierci swej matki. Ożenił się z prawdziwej miłości z jakąś biedną hrabianką. Kiedyś mówił mi ks. Chwała, że wiele osób stara się o to, żeby hrabia Włodzimierz nie był głównym spadkobiercą naszej hrabiny, lecz inny, bardziej wykształcony krewny. Pani hrabina trzyma się jeszcze zupełnie dobrze i niechętnie myśli o śmierci. Ksiądz ma nadzieję, że się nie odwróci od Włodzimierza, którego ongi tak bardzo kochała. Lecz czyż to można ludziom ufać? Dotąd będą ją namawiać, dotąd kusić, aż ją na swoją modłę przerobią.

— Czyż się nie widuje i nie rozmawia z młodym hrabią?

— Tyle, ile tego pozory wymagają.

— A jakże się zachowuje Włodzimierz?

— Prowadzi ciche życie, oddane nauce. Jest bardzo dobrym, miłym człowiekiem, kocha swój kraj. Jestem przekonany, że to on pisał księdzu o balu czeskim. Daj Boże, by nie stracił łaski hrabiny; byłoby nam z nim dobrze, wieleby się zmieniło w naszym zakątku! W sąsiedztwie już to się tak pięknie rozpoczyna, odetchnęłoby całe nasze podgórze!

Preceptor, przyszedłszy do swej izdebki, najpierw pogwizdał z kosem, zawieszonym w klatce przy oknie; zdjął świąteczne ubranie, przemieniając je na codzienne i patrzył na drogę i cmentarz przez okienko, wychodzące na ogród, zasypany śniegiem, z pod którego widniały gdzieniegdzie czarne zagony. Przypomniał sobie spotkanie i rozmowę z Albinką.

Sama zaczęła, szeptała płynnie, bez zakłopotania, a on się tyle namyśli, namęczy i w rezultacie nic nie powie.

Szczęściem udało mu się dziś wypowiedzieć choć słów kilka. W przeczytanych nowelkach młodzi ludzie tak pięknie i swobodnie rozmawiają z pannami! I on przygotowywał nieraz podobne frazesy, lecz, niestety, nigdy ich w porę nie użyje.

Co myśli o nim Albina, zapewne wyśmiewa go potem, nazywa niezręcznym, niemądrym preceptorem.

Przyszła mu jednocześnie uwaga:

— Dobrze, że się śmieje, niech się wyśmiewa, ja mam swą klasę, zeszyty, sprawozdania, swoją pracę i nie powinienem patrzeć, Bóg wie gdzie, sięgać po kwiaty, jakie nie dla mnie rosną... Ponieważ są zacnymi ludźmi, więc uprzejmie obchodzą się ze mną,

gdyby jednak wiedzieli, o czem ja ciągle myślę, odepchnęliby mnie na zawsze!

Myśli te były chłodne, zimne jak lód, ostre jak stal, ale pomocnik nie oddalał ich od siebie, chcąc, by go właśnie mroziły i raniły.

Przywodził na pamięć dziadka, babunię i matkę, nieszczęście rodzinne, nauki dziadunia o marności charakteru ludzkiego i rozmyślaniem tem chciał przemocą zagłuszyć to gorące uczucie, które owładnęło całą jego duszą, całem jestestwem, a które wiodło go to do krainy niewysłowionego, promiennego szczęścia, to do doliny łez i smutku.

Gdy ochłonął trochę z tych przygnębiających rozpamiętywań, czuł tylko silny ból głowy, lecz młody umysł znów trzeźwo rozmyślał: I czegoż się trapię? Nic się przecież nie stało... nic nie powiedziałem... nic nie uczyniłem.... Wszystko to jest niczem... niczem...

Czyż niczem? Wszak mam tego pełną głowę i serce, chciałbym to wszystko naraz wypowiedzieć, a nie mogę wyrzec i słowa... Czyż Albinka nie myśli o mnie? Zawsze patrzy tak mile, a w niedzielę przy stole napewno mnie rozumiała i odczuwała, tak jak ja... Znów mu przyszła rozwaga: Ale w tem właśnie cały błąd, że ja się tego tylko domyślam; ona ani słowem się nie zdradziła i pewno nie myśli o niczem... Żyła tu lat tyle, ani wiedziała o preceptorze Czermaku, nie pomyślała o nim... nie myśli... nie pomyśli...

I dobrze czyni! Niech nie myśli, na Boga, niech nie myśli! Przecież ja to wyrwę z mózgu i z serca — to waryactwo... gnębi to mnie... męczy... zabija; jam nieprzytomny, szalony wprost... Przyrzekł sobie, iż jutro, pojutrze w kościele nie spojrzy się nawet z chóru. Pomału wszystko powróci do dawnego stanu: preceptor Czermak i Albina z plebanii będą obcymi lu-

dźmi — nic więcej... Czyż jednak zdoła tak prędko uporządkować swe myśli... Przez cały tydzień snują mu się one po mózgu, obsnuwają go niby pajęczyna— za tydzień też doprowadzi je do ładu. Tak! Lecz cóż to będzie z niedzielą, gdy znów się zjawi na chórze z tym białym zarękawkiem, gdy się tak ładnie spojrzy... przemówi?... A co będzie, jeśli się pogniewa, że ani razu na dół nie spojrzę? A nuż nie zauważy, albo wcale już nie przyjdzie?... Przypuszczenie to sprawiło mu ból niewysłowiony.

Co postanowił — wykonał! Nazajutrz przyszedł do kościoła, usiadł przy organach i mimo wszelkiej pokusy, nie spojrzał ku dołowi świątyni. Wychodząc jednak, nie mógł się oprzeć tej sile wabiącej i rzucił wzrokiem—ławka była pusta.

Męczyłem się niepotrzebnie — wyrzucał sobie — nie była w kościele. Czy rozgniewała się i pierzchnęła? Uciekła, lecz pocóż miałaby uciekać, czemu się gniewać? Ot! dziś najlepiej mogę się przekonać, że to jej wszystko obojętne, że ją nic a nic nie obchodzę.

Czy nie była w kościele? Zapewne wyjechała wczoraj wieczorem z Pozdietyna, pojechała na dobre do domu i już nie powróci!... Cicho, pusto teraz będzie na plebanii, nie rozweseli jej żadna piosenka... Czemu odjechała do domu, co ją tam nęci? Na plebanii tak miło, szczęśliwie życie upływa. Do samego wieczora dręczyły go te pytania; przyszedłszy do kuchni dla przeczytania „Życia sierot" z „Kwiatów", oczekiwał tylko chwili, w której pani domu wspomni coś o Albinie, wiedział bowiem, że odwiedzała Pepiczkę. Czekał naprożno, nie nadmieniła ani słowa. Znów nie mógł zasnąć i gnębiła go nowa fala myśli i nierozwiązanych pytań.

Zaledwie odezwał się ranny dzwonek kościelny, wzywający na Mszę św., pobiegł do świątyni i na

chórze jej oczekiwał. Przyszła i, jak zwykle, na chór się spojrzała.

Ot spojrzała tak, jakby się nic nie stało — myślał sobie — wszystko jej jedno, wszystko obojętne. Spogląda z przyzwyczajenia, bez względu, kto siedzi przy organach. Przecież oglądała się i wtedy, gdy grywał pryncypał, a nawet uśmiechała się zawsze... Myśli te rozdenerwowały ogromnie pomocnika...

IX.

Ulewny deszcz przemienił się w zawieję śnieżną. Przez kilka dni nie było wprost widać Pozdietyna; po lasach i górach snuły, waliły się gęste, mroczne chmury, na firmamencie nie ujrzałeś jaśniejszego punkciku. Wielkie płaty śniegu spadały bezustannie, szybko.

W poniedziałek, 7-go marca przed wieczorem, przybiegł na plebanię najstarszy syn Marynka i prosił w imieniu ojca, ażeby ksiądz przyszedł do niego choć na chwilę.

— Co się stało? czy ojcu gorzej? — pytał proboszcz.

— Nie—tylko mu bardzo smutno i boi się—wyszeptał chłopiec bojaźliwie.

Ksiądz milczał, wpatrując się w chłopca badawczo; nie pojmował, co ten strach ma oznaczać.

Malec stał, jak nieprzytomny, nogi się pod nim uginały.

— Księże dobrodzieju, na Boga was zaklinam, matka nam przepadła! — zawołał i rozpłakał się głośno.

— Przepadła, zginęła, a gdzie?

— W górach!...

— Aa!

Teraz już wiedział, co to znaczy, przejęty wypadkiem, chodził prędko po pokoju.

Chłopak łzy ocierając, rozglądał się po klatkach. Proboszcz ujął go za rękę i zaprowadził do kuchni.

— Pepiczko, to dziecko głodne, jeśli masz co, daj mu do zjedzenia, a prędko—rozkazywał.

— A toś ty od Marynka, zkąd się tu wziąłeś?— pytała gospodyni.

— Przyszedł do mnie z poleceniem. Skoro się posilisz, biegnij do domu i powiedz, że idę zaraz — rzekł proboszcz i wrócił do siebie.

Było już zupełnie szaro, gdy wychodził z plebanii. Wysoki kołnierz od płaszcza podniósł w górę, czapkę nacisnął mocno na głowę, poły płaszcza ujął w jednę rękę, w drugiej zaś trzymał laskę i szedł bardzo prędko. Wkrótce był tak biały, jak te góry, chaty i droga, pokryta mokrym śniegiem. Okna budynków były ciemne; w kilku zaledwie migotało żółtawe światło, rzucające cień na ścieżkę. Chałupa, w której mieszkał kontrabandzista Marynek, stała w oddali samotna, a droga do niej zupełnie była zasypana, ani śladu stopy ludzkiej.

Proboszcz szedł na pamięć, w górę skręciwszy. Cały spocony, przedostał się nareszcie do biednej chatynki; strząsnął z siebie śnieg i wszedł do sieni. Ciemność w niej panowała zupełna, dopiero gdy kapłan stuknął laską, drzwi się otwarły i wpadła przez nie smuga mętnego światła. W drzwiach ukazał się syn Marynka; poznawszy proboszcza, usunął się grzecznie.

Ksiądz zdjął czapkę i zgięty wszedł wgłąb izby, podobnej raczej do kurnika. Małe okienko na las

wychodziło. Stały w niej dwa łóżka, stół w rogu, ławka i zydle, na prawo komin, na którym paliło się łuczywo.

Na jednem łóżku leżał ojciec, na drugiem dzieci siedziały.

— Bóg z wami, otóż i jestem — mówił kapłan, kładąc na ławie swój płaszcz i czapkę.

— Bóg wam zapłać, przewielebny ojcze, nie gniewajcie się na mnie, na Boga proszę!—mówił Marynek chrapliwym głosem. — Wyjdźcie ztąd, dzieci — dodał.

Dwaj chłopcy i dwie dziewczynki wyszły natychmiast.

Proboszcz przysunął krzesło bliżej łóżka, rozłożył poły sutanny i usiadł.

Z pod pierzyny, powleczonej niebieską poszwą, widać było zaledwie głowę i ręce Marynka. Twarz miał bez zarostu, włosy ciemne, kędzierzawe, małe, przenikliwe oczy.

— Raz jeszcze proszę, nie gniewajcie się nasz ojcze, nie wiedziałem już co robić z rozpaczy. Gdybym mógł, byłbym sam na plebanię przyszedł, lecz nie jestem w stanie poruszyć się nawet. Ach, wielebny ojcze, cztery dni i cztery noce wołam do Boga, modlę się o zmiłowanie. Przez cały ten czas oka nie zmrużyłem... Bóg wam to, panie, wynagrodzi, żeście się ulitowali nad takiem, jak ja, mizernem stworzeniem... Ogarnia mnie trwoga, przygniata, przeraża myśl, że żona moja kona, lub już skonała w lesie!... I to z mojej winy! Przez te dwa dni nastała cisza, więc ją wyganiałem, aby szła za mnie za granicę. Pracowała ona bezustannie w stodole, chałupie, ale cóż tu można zarobić dla pięciorga! Ciągle się wymawiała i broniła... W poniedziałek zaprowadziła ten drobiazg do szkoły i—poszła... Ot już trzy dni mi-

nęło od chwili, w której powinna być z powrotem, a ona nie wraca i nie wraca!... A ja widzę ją ciągle błądzącą po lesie, wśród ciemności, wichury, śnieżycy!... Widzę, słyszę, jak wszystko ugina się, trzeszczy pod jej nogami, załamuje się nad jej głową... Widzę ją spadającą ze skały martwą, śniegiem zasypaną... Albo znów słyszę wystrzał, spostrzegam blask, rozświetlający mroki leśne... widzę, jak matka nasza, ugodzona strzałą, martwa pada... I tak ciągle: we dnie i w nocy nie mam spokoju, a żona nie wraca i nie wraca!...

Marynek, dopowiedziawszy to szeptem prawie, zaczął płakać serdecznie. Proboszcz w milczeniu przeszedł kilka razy izdebkę, zażył tabaki, zajrzał do okienka, usiadł i zaczął mówić:

— Grzesznikiem jesteście, Marynku, Bóg was karze! Prawda, przemytnictwo daje więcej, niż ciężka robota, ale co na to mówi sumienie?

— Sprawiedliwie, sprawiedliwie, księże dobrodzieju. Kiedy jednak człowiek jest zdrów, coś nęci, ciągnie, pędzi wprost — co to? sam nie wiem. Lecz w tym strachu przed zielonym mundurem, w tej przyjemności z podejścia, oszukania ich — leży jakiś czar, urok nie dający spokoju, wypędzający nas z domu w nocy, w zawieje. Ileż to razy powtarzałem sobie: „Nie pójdę, nigdy nie pójdę, niech grom we mnie uderzy, jeśli się jeszcze wybiorę!" — szedłem jednak później. Ale teraz, Boże bądź mi świadkiem, więcej już tłomoka przemytniczego nie dotknę!

— Tak, gdy złożeni chorobą, ruszyć się nie możecie — przyrzekacie, a będąc zdrowym, biegaliście bez umiarkowania.

— O nie, wielebny ojcze, ja wiem dobrze, że będę jeszcze chodził, ale z tem rzemiosłem rozbrat biorę na zawsze, byleby ona wróciła. Była to do pracy kobieta, jako wół—taka miła z wejrzenia, krew-

by swą za nas przelała. Potrafię i bez jej pracy wyżywić te dzieci, ale co się z nami bez niej stanie? Ona była naszym Aniołem-stróżem, czuwającym we dnie i w nocy!...

— Może powróci, taka zdrowa, silna, wiele wytrzyma—mówił proboszcz ze współczuciem.

Chory uśmiechnął się gorzko.

— Nie wróci! nie wróci! Kto tam podczas takiej pogody nie był, nie wie, co to są góry i lasy. Przepędziłem w ten sposób jeden dzień i to w naszych stronach, a nie zapomnę tego do śmierci! Zawsze myślę, że tam można sobie wyrobić pojęcie o końcu świata. Ciemność grobowa, śnieg sięga za pas, za szyję, za głowę, na górze wszędzie śnieg. Słychać jeno świst, trzask, płacz, człowiek ucieka sam nie wie dokąd; upada, wstaje, znów ucieka z życiem; nie wie, czy to dzień i słońce gdzieś świeci, czy noc z gwiazdami... Za mego dzieciństwa zginęło siedmiu przemytników, znaleziono ich dopiero o późnej wiośnie, gdy śnieg już stopniał zupełnie. A teraz tam właśnie umiera moja żona, albo już leży martwa i nie ujrzymy jej więcej!...

Załamał ręce tak silnie, że mu palce w stawach zatrzeszczały i załkał głośno.

— Widzicie, widzicie, a samiście ją wysłali, wiedząc, że w każdej chwili może przyjść zadymka straszna. Nie rozpaczajcie, Marynku, człowiek nie może pojąć wyroków Boga. Może ona powróci? Może ukryła się między skałami i czeka pogodniejszego momentu, może zatrzymała się za górami i nie przeszła granicy?

— Tem się właśnie łudziłem, cieszyłem z dziećmi, ale siedem dni minęło od wyjścia, a jej nie widać! Naprożno! Widzę, widzę bezustannie, jak kona, widzę te jej wielkie oczy tak bezbrzeżnie smutne, bo

nas szukają, a nie zobaczą nigdy! Przysięgam Bogu, jeśli wróci—nogi i ręce jej ucałuję i tułaczce mej będzie koniec. Nie gniewajcie się, przewielebny ojcze, nie wiedziałem, co w bólu i strachu mam robić, przed kim go wyjawić. Dzieci nie chciałem trwożyć, obcy wyśmieliby mnie tylko, odważyłem się więc was, przewielebny ojcze, poprosić, ona i dzieci tak was lubią, wy mi pewnie co poradzicie, pocieszycie przynajmniej.

Proboszcz siedział zgarbiony; ogromnie był przejęty. Trzymał w ręce tabakierkę, ale tabaki nawet nie zażył.

— Ciężka tu rada, trudna pomoc, mój przyjacielu! Cóż wam powiedzieć mogę, nic nad to, żebyście ufali Bogu, wzywali jego pomocy, a może, może zlituje się nad wami. Może daje wam tylko przestrogę, pokazuje, jak ukarze. Módlcie się z dziećmi—ja w kościele to uczynię.

— Będziemy się modlić! Modliliśmy się całemi rankami, dniem, nocą! Wszystkie dzieci: od najmłodszego do najstarszego wznosiły ręce ku niebu, prosząc je o zwrot matki. Od czterech dni żyję w tej piekielnej trwodze!... Najchętniej pobiegłbym za nią w tę zawieruchę, zasłaniającą wszystko dokoła, w te okropne lasy i krzyczałbym, co sił starczy: Bara [1]) nasza, Bara, odezwij się; Bara, ja cię szukam!...

Marynek z jękiem kończył te wyrazy. Wiatr przeraźliwie zaświstał, śnieg z łoskotem obijał się o drobne szybki okienka. Łuczywo zaczęło się zwęglać, przygasać i zaledwie się tliło.

Proboszcz wstał, zapalił nowe.

---

[1]) Bara—Barbara.

— Macie co jeść?—zwrócił się do chorego.

— Jest tu parę kartofli i kilka groszy w kieszeni—zimno odpowiedział kontrabandzista.

— Przyślijcie na plebanię po chleb — nieśmiało proboszcz wykrztusił.

— O co to, to nie! Uchowaj Boże! Jeszczeby kto pomyślał, że wzywałem księdza dla wyżebrania czegoś. Nie o jadło mi szło, bynajmniej, lecz o poradę, pociechę! Musiałem wywnętrzyć się ze swym bólem i strachem.

— Gdybym był czarownikiem — pomógłbym, teraz stoję bezradny, powtarzający jedno: Ufajcie, nie rozpaczajcie! Ja wierzę, iż odnajdziecie żonę. Znam jej siłę i wytrwałość. Przecież ona na was wszystkich pracowała. Ilekroć gniewałem się na was, że nie macie nad nią litości, zapędzacie do roboty ciężkiej, sami oddając się tej nieszczęsnej tułaczce. Wyrzucałem wam tę chęć pieniędzy bez względu na sumienie. Wy, przy całym waszym strachu i niebezpieczeństwie, lepsze mieliście życie, niż ona tu, a nie pomogliście jej nigdy... Była to idealna matka!

— Była, była! i wy już, ojcze, mówicie, „była?!" Chryste Panie, ratuj ją, nie daj jej zginąć!... Ukarz mnie, mnie tylko! — wołał z beznadziejną rozpaczą nieszczęśliwy kontrabandzista.

W tej chwili nizkie drzwiczki izby otworzyły się i przez nie zwolna przedostawała się zgarbiona postać Marynkowej.

Ksiądz i chory oniemieli. Przyjście żony w tym momencie właśnie było zjawiskiem nie z tego świata i wprost ich przeraziło.

Przeszła próg i oparła się o ścianę.

Proboszcz pierwszy ochłonął z przerażenia, przyskoczył do niej i odwiązał zawiniątko, przewieszone przez ramię.

Zawiniątko upadło z łoskotem na ziemię, Marynkowa obsunęła się na podłogę.

— Panienko Maryo! — krzyknęła i padła bez zmysłów.

W tej chwili zerwał się chory z łóżka i upadł przed żoną na kolana.

— Nie wyprawiajcie krzyku i hałasu — ostro ksiądz strofował. — Ot, pomóżcie położyć ją tam na łóżku.

W minutę leżała już wygodnie, proboszcz okładał jej czoło zimną wodą.

Marynkowa otworzyła oczy.

— Jezu Chryste! Jezu Chryste! — jęknęła, poznawszy księdza, drgnęła cała.

— Nie lękajcie się, leżcie tylko spokojnie, biedaczko, odpocznijcie trochę. Zażyłaś wiele, wiele doświadczyłaś, biedna kobieto, cicho, nic nie mów. Trzewiki zdjąć, ot tak, nie stójcie bezczynnie, pomagajcie—komenderował.

— Tak, dobrze, teraz zawołajcie Ferdę. Pójdzie ze mną do domu, Pepiczka ugotuje coś ciepłego, abyście się pożywili.

— Bóg zapłać! Ach, jakie straszne przeżyłam chwile! Trzy doby leżałam skurczona między takiemi ogromnemi głazami—ledwie z życiem uciekłam!

Ferda, wbiegłszy, krzyknął:

— Jezu! mama! — i rzucił się ku matce radośnie.

— Nic nie mówcie, do czego to doprowadzi! A ty, chłopcze, chodź ze mną i wracaj prędko. Wszystko, wszystko jeszcze dobrze pójdzie. Wy, ojcze, uklęknijcie przy żonie, łzami i pocałunkami ogrzejcie jej nogi i módlcie się, dziękujcie Stwórcy! Prędzej, Ferda, prędzej!

Proboszcz włożył czapkę, wziął laskę i wyszedł szybko.

Wiatr świstał przeraźliwie, śnieg padał wielkiemi płatami, ale kapłan pospieszał, chłopak biegł za nim kłusem.

Przybywszy na plebanię, skierowali się do kuchni.

— Pepiczko, żywo, galopem zabierz się do ugotowania polewki z wina; niech będzie gorąca, aby nie wystygła, nim ją chłopak doniesie do chałupy. Boże, Boże, co to za ludzie! Trzy dni i trzy noce spędziła w górach, między skałami, a potem pędziła do dzieci w tę straszną zamieć śniegową! — Kto, kto? — No, Marynkowa! Jeśli masz jeszcze coś do jedzenia, to daj im, Pepiczko. Tyś dobra kobieta, rozumna, to im pomożesz. Albino, czemu stoisz nieruchoma? — mówił proboszcz przejęty, rozgorączkowany.

Albina, patrząc na niego, nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Płaszcz dziwnie zapięty, wyglądał na nim, jak chomonto, czapkę włożył daszkiem do tyłu.

— Ależ, wielebny ojcze, wy się choroby nabawicie — strofowała Pepiczka, ogień rozpalając.

— Nic się złego nie stanie, nie obawiaj się, wszystko będzie dobrze, tylko się pospiesz. Teraz uczuli nad sobą palec Boży i koniec będzie tym wyprawom za granicę. Przecież to okropne przeleżeć w takiej trwodze, między głazami tyle dni, uciekać przed pogonią przez skały, przepaście, wśród zawieruchy! Czy nie mogłabyś dać i jaj parę?

Jaki cud, że nie dosięgła jej kula, że nie padła tam martwa!

Rano przyjdź, chłopcze, Pepiczka zabije i ugotuje wam kurę. Albo daj dzieciakowi kawałek chleba i on pewnie nie syty — głośno, jednym tchem rozka-

zywał proboszcz i teraz dopiero zdjął płaszcz, czapkę, położył laskę na krześle, zatarł ręce i zaśmiał się radośnie, jakby mu ciężar spadł z piersi.

Kiedy Albinka podawała Ferdzie kromkę chleba, poklepał ją po ramieniu i pytał z uśmiechem:

— Jakże się miewasz, dziewczyno? — jakby jej dawno nie widział.

— Dobrze, wielebny ojcze — roześmiała się wesoło.

— Z przyjemnością to słyszę. A gdzież jest Dolejsz, czy już poszedł na drzemkę? Czyż może przespać tyle godzin? ale prawda, to już starzec, a sypia się podobno z wiekiem coraz więcej, coraz dłużej, aż uśnie na wieki.

— Może się posilicie, wielebny ojcze — przemówiła Pepiczka i nalała mu na talerz rosół, z obiadu zostawiony.

— Chętnie coś zjem, bom już głodny.

Przeżegnawszy się, zaczął odmawiać:

— Zwracają się do ciebie Stwórco...

. . . . . .

Podczas tej fatalnej pogody mało dzieci przychodziło do szkoły. Pan kantor żartował, że z czasem więcej będzie nauczycieli, niż uczniów.

Po jedenastej godzinie rozbrzmiewał w klasie śpiew mszy, którą pryncypał przygotowywał na święta. Między głosami młodych śpiewaków uwydatniały się tony preceptora i dźwięki skrzypiec. Takt i pauzy wybijał kantor smyczkiem.

— Es—pół! Jeden, dwa, trzy, cztery. Tak. Jeszcze raz—alty, proszę uważać. Tenory wyżej, wyżej—rozchodziła się komenda kantora.

O trzeciej godzinie z kilku skrzypkami pomocnik grywał duety. Po skończonej pracy szkolnej przychodził do swego pokoiku, przepisywał nuty, lub czytał pilnie książki, to znów szedł do pryncypała i grał na fortepianie, wreszcie ćwiczył się w muzyce na flecie i trąbie.

Sprawa sercowa stała na miejscu.

Z Albinką widywał się w kościele, spoglądali na siebie, czasem i uśmiech zamienili, ale to było wszystko. Trapił się wciąż, wciąż pracował nad sobą, walczył, przypominał sobie matkę, patrząc na portret i prosił drogiego jej cienia o spokój myśli.

Ostatecznie postanowił rozmówić się z Albiną— niechaj się dowie, co się w nim dzieje. Obmyślił sposób działania.

W niedzielę po nabożeństwie śpiesznie szedł za dziewczyną. Gdy się za nim na schodach obejrzała, zapytał:

— Jak pani dziś spała?

Po rzuceniu tego zapytania, zmieszał się ogromnie; zmieszały go pewnie jej oczy, kręcone włoski, rumiana twarzyczka i ten piękny, choć trochę zadarty, nosek. Usłyszawszy pytanie, znów się odwróciła i zaśmiała serdecznie.

— Jak spałam? Dobrze, doskonale — odparła, dziwiąc się, czemu ją o to pyta.

Preceptorowi pomieszały się już całkiem szyki, bąknąwszy, iż pyta się ot tak sobie, ukłonił się i pędem pobiegł do domu.

Później obmyślił plan nowy.

Na ćwiartce papieru przepisał z „Kwiatów" czterowiersz Wincentego Furcha [1]):

---

[1]) Czesko-morawski poeta, ur. 1817, zm. 1864.

„Albino, przysięgam święcie,
Że kochać cię będę wytrwale.
Miłość twa dała mi szczęście,
Żyć bez ciebie nie mogę aniele!

Przepisał głównie dla ostatniego wiersza, który podkreślił.

Kartkę nosił przy sobie, chcąc przy spotkaniu z Albiną wsunąć jej w rękę i uciec. Skoro jednak wziął papier do ręki, rozważył, iż Albina nie zdaje sobie sprawy z tego, co się w nim dzieje, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, odda kartkę Pepiczce lub proboszczowi.

Nigdy więc kartki nie wręczył.

Dzień za dniem szybko mijał. Zawieje ustały, a wiosenne słońce coraz mocniej ogrzewało. Po drogach, wzgórzach i błoniach stały, albo płynęły strugi brudnej wody.

Na starej gruszy w ogrodzie za szkołą zaświergotał pierwszy szpak, gwizdanie jego rozeszło się daleko, hen po dolinie i borach. Zaszumiały one potężnie, drzewa się zatrzęsły, aby ze swych gałęzi zrzucić resztę śniegu i stały gęste, ciemne, wyczekujące...

Z gór dochodziły dziwne odgłosy, mgły się jeszcze tłukły po szczytach, zbijały, rozbijały o skały i rozpryskiwały gdzieś w głębinach.

Przed świętem wiosennego patrona preceptor Czermak po raz pierwszy poszedł z kapelą grać na wiązanie okolicznym Józefom. Jeszcze wprawdzie nie wydoskonalił się w grze na trąbie, ale sekundę zatrąbił bardzo dobrze.

Najpierw obeszli Pozdietyn, potem udali się do

Milowa i znów w górę do Wietrowa. Gdzie był Józef zamożniejszy, ośmiu muzykantów stawało dokoła, z kantorem na czele.

W Wietrowie, po zagraniu wiekowemu dziekanowi, musieli zajść do kuchni, aby się pokrzepić przygotowanym poczęstunkiem. Każdy z nich dostał ogromny kawał chleba z zimnem mięsem i olbrzymi kufel piwa—jeden za drugim. Rozkoszował się nim Pażont, nie mogąc wprost ust od kufla oderwać.

— Pijcie. proszę, pijcie, panowie muzykanci — zapraszał sędziwy dziekan. — Kto wie, czy to już nie ostatni raz gracie mi na wiązanie! Jedzcie i pijcie, abyście ten dzień pamiętali. Ja wiem, iż żołądek muzykanta, to otchłań morska...

Ksiądz Chwala przyszedł również zobaczyć muzykantów, za co mu się odwdzięczyli zagraniem „Dalibora" z przeszłorocznego balu czeskiego.

Wiązanie skończyło się w pozdietyńskiej „Lipie" i kantorzy powrócili do domu o północy dopiero.

Pryncypał, oddając nazajutrz pomocnikowi dwa reńskie srebrne, zauważył:

— Gdyby ci wszyscy patronowie tak się nam opłacali, jak Józefowie, byłoby dobrze, ale nieraz więcej w drodze przepijemy. Np. na św. Piotra mamy tylko trzech solenizantów, każdy mieszka w innej miejscowości, a trzeba iść do nich, nie mogą przecież obejść się bez muzyki. Jeden jedyny sławny święty, to Jan Nepomucen, on dla muzykantów najmilszym patronem. W maju bywa zwykle piękna pogoda, niema postu, ludzie i potańczyć mogą, to też wychodzimy z domu wczesnym już rankiem. Ja też myślę, że w przyszłości ze wszystkich Janów, a przynajmniej ze Złotoustego i Ewangelisty uczynimy Nepomucenów — żartował kantor. Wkrótce jednak posmutniał i mówił z goryczą:

— Jednak to wszystko, to wieczna, paląca rana kantorów! Gdybyśmy mieli lepsze utrzymanie, nie chodzilibyśmy z trąbami, nie grali na pogrzebach, weselach, imieninach i gospodach, ale musimy to czynić dla uzbierania grosza. Tylko teraz to już tak nie idzie, jak dawnemi czasy. Kantor Hadek z Wietrowa opowiada, że miewał z muzyki czterysta reńskich rocznie, a po pięciu latach zebrał sobie porządny kapitalik. Dawniej inaczej bywało, ludzie cenili lepiej muzykę. Od paru lat nie chodzi już z nami Hadek, bo wie, że się to nie opłaca zupełnie.

. . . . . .

Świętego Józefa było w sobotę, w niedzielę zaś przypadała niedziela Kwietnia z pierwszemi pasyami.

W sobotę stary Roubal pytał pana kantora:

— Któż w niedzielę odśpiewa „ewangelistę" [1]), chyba nie ten stary Szkmoszyl? Sądzę, że przy organach siaduje najodpowiedniejszy ewangelista, tamten jest już bezzębny.

— Macie racyę, dziaduniu, ten młody inaczej to wykona—przyświadczył nauczyciel—pomówimy o tem z pomocnikiem.

Roubal podczas Mszy św. oznajmił Petruszce, że odebrano Szkmoszylowi rolę ewangelisty, powierzając ją preceptorowi.

Kiedy obaj śpiewacy wychodzili z chóru, Petruszka powiedział:

---

[1]) Dawny zwyczaj (pozostałość z misteryi) śpiewania ewangelii św. Mateusza na kilka głosów. Osoba, śpiewająca właściwą ewangelię, nazywa się „ewangelistą."

— Toście się zrzekli ewangelisty na korzyść młodego?

Szkmoszyl, odziany w swój wielki płaszcz granatowy, stanął przed nim uroczyście, niby prorok biblijny.

— Z jaką falą przypłynęła ta głupia wiadomość?—zasyczał, dumnie przymykając oczy.

— Nie wiem, nie wiem, kolego. Usłyszałem to od Roubala, a on od kantora.

Twarz Szkmoszyla zsiniała ze złości.

— Ewangelistą w naszym kościele przez czterdzieści lat był Floryan Szkmoszyl i nim nadal pozostanie! — powiedział krótko, wymawiając ostro sylabę po sylabie. Patrząc na Petruszkę, pokiwał głową z politowaniem i poważnie poszedł do domu.

— Nie wiem, jak się to stało, dość, że słyszałem od Roubala—wołał Petruszka — ale Skmoszyl nie raczył się nawet odwrócić. Przyszedłszy do domu, do baraku, powiesił swój płaszcz na gwoździu, zdjął buty i surdut, włożył pantofle, zawiązał ogromny fartuch i usiadł za warsztatem tkackim.

Przez pięć minut zaledwie poruszały się czółno i pedały, potem przerwał Szkmoszyl robotę i zawołał na żonę, która przędła przy kominku.

— Hej, Mańko, idź do izby i powiedz Maciusiowi, żeby skoczył do kantora zapytać go, czy mam jutro zaśpiewać ewangelistę.

Skmoszylowa spojrzała się na męża gniewnie i przędąc dalej, mruczała:

— Będę pędzać chłopaka napróżno, któżby inny potrafił odśpiewać, przecież to wiadoma i pewna rzecz.

— Wyraźnie mówię: masz posłać Maciusia, wybrali podobno innego.

Szkmoszylowa dźwignęła się od kołowrotka i przygarbiona od siedzenia, biegła do izdebki. Śpiewak zabrał się znów do pracy.

— Chciałabym też wiedzieć, ktoby potrafił w całym Pozdietynie odśpiewać ewangelistę—mówiła żona, drzwi zamykając. — Zobaczysz, nadarmo zmęczy się nasz chłopak.

— Ktoby mógł zaśpiewać. A ten, kogo wybierze wielmożny pan kantor! Cóż jego obchodzą zasługi, prawo, zdolności! Ma tego chłopaczynę preceptora, umiejącego nucić zaledwie; ot i gotowy ewangelista—zgryźliwie mówił Szkmoszyl.

— Toby już sprawiedliwość zaginęła na świecie! Czterdzieści lat piastowałeś tę godność i teraz mieliby ci ją odebrać? To byłaby wprost zbrodnia — siadając przy kołowrotku, wykrzykiwała Szkmoszylowa, aż jej się broda trzęsła ze złości.

— Naturalnie i ja podobnie myślę. Zresztą, któżby potrafił wykonać te trudniejsze ustępy, potrzebujące wyższego głosu, wprawy. Taki smarkacz będzie się piął do roli ewangelisty! Słyszana rzecz!

— To niemożliwe, przecież ewangeliści nie byli młodzikami.

W takt kołowrotka mruczała stara kobieta.

Drzwi się rozwarły z łoskotem, stanął w nich Maciuś.

— Dziaduniu, pan kantor kazał wam powiedzieć, że pięknie wam dziękuje, bo ewangelistę odśpiewa preceptor. Jeśli chcecie być Judaszem, to możecie przyjść do kościoła! Zostańcie z Bogiem! — jednym tchem to wypowiedział i już był za drzwiami.

Warsztat i kołowrotek umilkły jednocześnie.

— Mówiłem — wykrzyknął Szkmoszyl, przyczem usta drgały mu nerwowo, twarz cała pobladła.

— To piękny porządek! Włóż surdut, idź na plebanię i powiedz, jaki się przewrót szykuje. Tyś jest ewangelistą, a dopóki się sam nie zrzekniesz swego urzędu, nie mogą obierać drugiego! Miałżebyś zostać tym chciwym Judaszem?

Szkmoszyl, trzymając jednę rękę za fartuchem, drugą targając włosy, chodził wielkiemi kroki po izbie; szybko oddychał, jakby złapać nie mógł powietrza.

— Nie waryuj, tylko wdziej surdut i pędź do księdza — jednym wciąż głosem powtarzała Szkmorzylowa.

Zatrzymawszy się na środku stancyi, zaczął się śmiać szyderczo.

— To byłby ewangelista!—szybko zdjął fartuch, pantofle, obuł się, włożył surdut, płaszcz narzucił i w czapce barankowej pobiegł na plebanię.

Przechodząc obok szkolnego ogrodu, spotkał starego Roubala, który zaglądał do okienka preceptora.

— Gdzie to tak pędzicie? — słodko zapytał Roubal.

— Mam interes na plebanii.

— Ach, pewnie w sprawie ewangelisty, czy tak? Pan kantor wspominał, że czas potemu, aby starego, już bezzębnego młody zastąpił! — złośliwie chichotał komornik.

— Na Judasza byłbym pewnie odpowiednim — załkał prawie śpiewak.

— Stworzonyś! — odciął się Roubal i ze śmiechem skierował się ku górze.

Śpiewak stał, jak wryty w ziemię.

— Ha, to dlatego! — mruczał — zębów nie mam; niech będzie jaki chce śpiewak, byle miał zęby; nic nie znaczy zasługa, powaga, nic, nic! — przygnębiony, zwolna wchodził na plebanię.

— Rączki całuję, chciałbym się widzieć z księdzem dobrodziejem—mówił w kuchni do Pepiczki.

— Proboszcz jest w swym pokoju, proszę iść dalej—odparła gospodyni, Albina zaś podążyła za śpiewakiem, dla przyjrzenia się jego poważnemu kroczeniu.

— Upadam do nóg, wielebny panie, pokornie przepraszam za to moje najście, chciałbym się jednak dowiedzieć, czy jestem jeszcze ewangelistą, czy nie?— recytował, z początku bardzo uniżenie, potem coraz pewniej i głośniej.

Proboszcz wstał, zbliżył się do Szkmoszyla, poczęstował go tabaką.

— Pięknie dziękuję—kołysał się śpiewak, a oczy zaświeciły mu radością.

— Ewangelista, ewangelista, jaki ewagelista? — pytał się proboszcz.

— Jutro mamy niedzielę, kwietną zwaną, podczas pasyj od czterdziestu lat śpiewam zwykle ewangelistę—łagodnie objaśniał Szkmorzyl.

— Wiem, wiem, dobrze to śpiewacie.

Starzec uśmiechnął się błogo.

— Czterdzieści lat w jednej świątyni Pańskiej świętego Wacława w Pozdietynie! Trzej kapłani, trzej nauczyciele zawsze mnie chwalili, a teraz ma być inny ewangelista?

— Cóż znów? kto? — zadziwiony pytał proboszcz.

— Ten młodzieniaszek preceptor — wycedził syczącо śpiewak, zaciskając pięść ze złością.

— Aa! Czermak! tak, on toby ślicznie zaśpiewał, mieliby przjemność nasi kolatorowie — zapalał się kapłan, kiwając głową.

Szkmoszyl chciał mu przerwać ten monolog, lecz tylko coś mruknął pod nosem.

— Więc Czermak, a wy cóż zaśpiewacie? pewnie Kajfasza, albo Judasza?

Śpiewak się wyprostował, lewą rękę położył na sercu, a z prawą podniesioną deklamował patetycznie.

— Czterdzieści lat zasługi nic nie znaczy? Za trzech kapłanów spełniałem tę czynność na chwałę i cześć Boga, a teraz nagle zjawia się jakiś młodzik i mam ustąpić z urzędu? I wielebny pan zgodzi się na to?

— A, więc, wy tak chcecie być ewagelistą? Ładnie to z waszej strony, że sobie cenicie ten obowiązek, ale widzicie, ja w tej sprawie nie rozstrzygam, to rzecz pana nauczyciela.

— Tak! sądzę jednak, iż w kościele pierwszą osobą jest ksiądz, a kantor w szkole.

— Zajdźcie do pana nauczyciela, powiedzcie, iż życzycie sobie zatrzymać tę rolę i wszystko będzie dobrze. Ja was też chętnie posłucham. Preceptor zaśpiewałby artystyczniej, młodziej, ale wy za to po staremu, jak nasi ojcowie!

— Tak, tak, oni to umieli doskonale! Muszę zatem udać się do kantora. Rączki całuję — żegnał się Szkmoszyl i odszedł z powagą.

W szkole zapukał do kuchni, drzwi otworzył i witał nauczyciela:

— Dzień dobry, panie kantorze! Przychodzę

gwoli tego ewangelisty. Myślę, że gdy kto przez lat czterdzieści wiernie spełniał swe obowiązki, nie powinien być oddalonym bez powodu!

Nauczyciel, siedząc przy pracy, słuchał obojętnie.

— Jakież to oddalanie? Pomocnik młodym jest, głos ma, jako dzwonek, a wy przecież moglibyście również zaśpiewać Judasza.

— Nigdy, za najdłuższego nawet życia nie będę. Ewangelistą, albo niczem! A toż pierwsza lepsza baba naigrawałaby się, że z ewangelisty przeszedłem na Judasza! Roubal dowodził, że pan powiedział, jakobym tracił swą rolę dla braku zębów.

— Może to powiedziano u Roubala, tu jednak stanowczo nie—chłodno odparł nauczyciel.

Żałował on starca, lecz pamiętając, jak poniewierał ludźmi w kościele, chciał go teraz ukarać.

— Jakże więc będzie z tym ewangelistą? — pytał ostro Szkmoszyl.

— Już wszystko ułożone: powiedziałem panu preceptorowi, żeby zaśpiewał, on się na to chętnie zgodził — mówił kantor, naprawiając skrzypce i nie spojrzał nawet na śpiewaka.

— Tak więc, tak, po czterdziestu latach mam być odsunięty od pasyi! Sam proboszcz mówił, że chętnie mnie słucha, bo śpiewam, jak nasi ojcowie śpiewali!

— A! toście już byli na plebanii ze skargą. Wiedzcież o tem, że na chórze kantor jest panem— krzyknął nauczyciel, śmiejąc się w duchu.

Szkmoszyl stał osłupiały, krew uderzała mu do głowy... Toż jutro Kwietnia Niedziela, a on nie ma stać za organami w swym szerokim płaszczu granatowym. Nie, to niemożebne! Cały rok marzy jeno o tem i pyszni się swą rolą ewangelisty, a teraz ma

to stracić? Toż się Petruszka ucieszy z jego poniżenia; on i tak zły, że z łaski tylko odśpiewuje Piotra. A ten Adam Hejn, co zawsze się pyta, kiedy ewangelista pozdietyński za przykładem wietrowskiego poda się do emerytury...

— Uniżenie proszę pana nauczyciela, nie odbierajcie mi tej godności — prosił z rozpaczliwą pokorą, kłaniając się bezustannie.

— W takim razie musicie się porozumieć z panem preceptorem. Przyrzekłem mu poprzednio, cofać się więc nie mogę.

Szkmoszyl oniemiał. Więc ma się jeszcze upokorzyć przed tym smarkaczem i to po czterdziestu latach zasłużonej pracy! Nie, a jednak... Nigdy mu przez myśl nie przeszło, aby miał stracić rolę ewangelisty. Cóż on znaczy bez tego? Nie, jest zwykłym tkaczem, podobnym do innych wieśniaków - komorników i niczem więcej!...

— Panie nauczycielu, bądź pan łaskaw załatwić to wszystko.

— Pan preceptor ma lekcyę, poczekajcie, poproszę go tu, sami porozmawiacie.

Kantor wyszedł do klasy, a za chwilę zjawił się w kuchni pomocik.

— Przyszedłem, panie preceptorze, w sprawie ewangelisty. Czterdzieści lat go śpiewałem i teraz chcecie mi stołka podstawić—szeptał starzec.

— Pan nauczyciel prosił mnie o śpiew — odparł młodzieniec z uśmiechem.

— Nie czyńcie tego, panie, nie sprowadzajcie hańby na siwą mą głowę, a nigdy wam tego nie zapomnę!—żebrał śpiewak.

— Jeśli wam tyle na tem zależy, zaśpiewajcie czterdziesty pierwszy raz, niechże i ja was usłyszę.

Szkmoszyl ucałował rękę preceptora i wołając:

— Niech Bóg panu wynagrodzi! Ślicznie zaśpiewam—wybiegł ze szkoły.

Zapomniał i o swej powadze śpiewaka, uciekał, jak szewc na jarmark.

— Cóż, cóż ci powiedzieli?—pytała żona, przędąc przy kołowrotku.

— Co powiedzieli? Nic. To była pomyłka!

— A widzisz, prawdę powiedziałam.

— Cicho bądź, nie rezonuj — zamruczał. Zdjął płaszcz, otworzył ewangelię i zaczął śpiewać: „W on czas, gdy zbliżała się Wielkanoc..."

Nazajutrz, jak zwykle, był ewangelistą, pomocnik zaś odśpiewał Judasza, nic sobie z tego nie robiąc. Albinka śpiewała „Niewolnicę," była więc sposobność większa do gry oczyma...

Najbardziej poirytowani byli Roubal, komornik, który się tak cieszył na śpiew Czermaka, i Petruszka, że nie upokorzono Szkmoszyla. Dopierożto się będzie pysznił — myślał sobie. — Wbrew jednak oczekiwaniom, śpiewak był ogromnie łagodny, ani słowem nie uraził nikogo. Po południu, jeszcze nawet nie przedzwoniono na błogosławieństwo, gdy pomocnik pośpieszał ku plebanii, niosąc pakę nut, wybranych przez kantora na „besedę."

Kiedy do drzwi zapukał, wyszła do sieni Albinka w czerwonej w czarne paski sukni, z białym fartuszkiem, w którym było jej do twarzy.

— Witam pana—wołała — ksiądz proboszcz jest na podwórzu przy drobiu—i z wesołą minką szła na jego spotkanie.

— Dobry wieczór! przyniosłem nuty—zdejmując kapelusz, mówił nieśmiało.

— Wszak nie zna pan naszego podwórza, pro-

szę mu się przyjrzeć—zapraszała młodzieńca i bawiła się kluczem.

Naraz klucz upadł na ziemię. Schylili się obydwoje i jednocześnie wyciągnęli ręce. Pomocnik, nie wiedząc, jak się to stało, zamiast za klucz pochwycił za rękę Albiny. Uścisnął ją zlekka i zaraz puścił. Podnosząc się, uderzył czołem o jej głowę. Zaczerwienili się obydwoje; młodzieniec, drżąc cały, spojrzał się na nią filuternie, lecz wnet spuścił oczy ku ziemi. Ona się śmiała, poprawiała włosy na skroniach i patrzyła nań błyszczącemi oczyma.

— Pójdźmy, pójdźmy dalej — szczebiotała w zakłopotaniu. Czyż mam pana ująć za rękę, jak małego chłopaczka?

Skoro wyszli z sieni, zapytał niespokojnie:

— Pani się na mnie nie gniewa?

Zaprzeczyła głową, obejmując go serdecznem spojrzeniem.

— Nie uderzyłem pani mocno?

— Ani troszkę — wbiegła na drabinkę i wołała:—Księże dobrodzieju, księże proboszczu!

— Co się stało?

Pomocnik, patrząc się w kierunku głosu, ujrzał głowę proboszcza wysoko nad gołębnikiem. Był on na poddaszu stajni..

— Przyszedł pan preceptor—objaśniała Alba.

— Zaraz schodzę. Franciszku, jesteś tu? Widzisz tego gołębia, gardłacza, prawda, że piękny? A te małe, białe, z czerwonemi główkami, to mniszki. Reszta gdzieś w polu. Musiałem zajrzeć tu, aby się dowiedzieć, co porabiają gołębie, czy nie odwiedza ich kuna. Przyszedł też ojciec Albiny, chciałbym więc posłać jej matce parę gołębi.

— Ot, to gospodarstwo prawdziwe, podziwiaj

pan—śmiała się Albinka—proszę patrzeć, tu są znów kury, ma ich proboszcz niezliczone gatunki.

— To mi się podoba—mówił pomocnik.

— I ja lubię to bardzo, chętnie znajduję się między tem drobiem.

— Zawsze sobie układam, że gdy mieć będę szkołę, założę przy niej ogródek z ulami, a na podwórku mnóstwo będzie drobiu.

Proboszcz wychodził właśnie ze stodoły; słomę miał we włosach i na ubraniu, w ręce niósł trzy białe gołębie.

— Witam cię, młodzieńcze, coś mi przyniósł?— pytał serdecznie.

— Pan nauczyciel przysyła nuty; nie mógł tego wcześniej uczynić, gdyż musiał wpierw odebrać od znajomych i uporządkować.

— Dobrze, dobrze, chłopcze, dobrze, chodźmy dalej.

— Dziękuję, pójdę już do kościoła.

— Jeszcze dość czasu, wejdź choć na chwilę. Mamy dziś gościa, będzie on potrzebował kartofli na wiosnę do sadzenia i przyszedł po nie na plebanię pozdietyńską, gdzie jest na nie wielki zawsze popyt. Mam ich dosyć, dosyć, a o dobrych ludziach pamiętam.

Pierwszy wszedł do kuchni. Pomocnik postępował za nim, Albina została na dworze.

— Ot, weźcie te gołębie i dajcie żonie, niech je smacznie spożyje. To nasz nowy preceptor—wskazywał proboszcz młodzieńca ojcu Albiny, siedzącemu przy stole.

— Witam, witam — mówił Podzimek, podając Czermakowi swą spracowaną rękę.

Stary Podzimek był wysoki, barczysty, twarz

miał podłużną, ciemne, ponure oczy, włosy czarne, zaledwie przyprószone siwizną, krótko ostrzyżone. Nosił duży zarost, z pod którego widać było zdrowe, białe zęby. Ubrany był w długi, czarny surdut, w kamizelkę po samą szyję, w szerokie, wełniane spodnie, włożone do butów, o lśniących cholewach. Głos miał donośny, ostry, spojrzenie posępne.

— Nasz pan pomocnik uczonym jest człowiekiem — dodała Pepiczka.

— To szkoda, że sobie wybrał nauczycielstwo, stan to mizerny — odrzekł Podzimek.

— Czemuż mizerny? Gdy szkołę otrzyma, będzie panem całą gębą — odparła Pepiczka.

— Cóż brakuje naszemu Hadkowi? Wygląda, jako księżyc w pełni — dorzucił proboszcz.

— Ale to wtedy dobrze, kiedy szkołę otrzyma, inaczej musi chodzić od domu od domu, jak żebrak.

— U nas w Pozdietynie inaczej się dzieje — gniewnie powiedziała Pepiczka.

Z jej cierpkiego tonu poznać można było, ile ją drażni dowodzenie brata.

— Na bażanty i u nas chyba nie mają pomocnicy.

— Na utrzymanie porządne zupełnie im starczy. My zaś lubimy bardzo pana preceptora, jest bowiem dobrym człowiekiem, a jak śpiewa! — szczebiotała wesoło Pepiczka ku zdumieniu obecnych.

Podzimek dorozumiewał się, kogo ma na myśli, uśmiechnął się więc i rzekł:

— Dlatego, dlatego to! — a patrząc na siostrę, dodał: — Zawsze jesteś tą samą i już się chyba nie zmienisz.

Pomocnik przygnębiony był wrażeniem, jakie na nim wywarł ojciec Albiny.

— Muszę iść do kościoła, zostańcie z Bogiem, życzę panu szczęśliwej podróży—mówił Czermak.

— Żegnam i raz jeszcze powtarzam: obyś pan dostał jaką spokojną szkołę — odpowiedział Podzimek, podając mu rękę.

— Niech pan nas wkrótce znów odwiedzi. Tak się mało widujemy, jak gdyby nas dziesiątki mil rozdzielały—użalała się Pepiczka.

Wszedłszy na cmentarz, zobaczył w ogrodzie Albinkę.

— Już pan ucieka?

— Muszę, do kościoła idę.

— Ja dziś odjeżdżam z ojcem do domu — powiedziała i wnet zauważyła, że słowa jej zabolały młodzieńca.—Muszę pomagać mamie, po świętach powrócę. A pan nie odwiedzi swej babuni?

— Pójdę do niej, lecz w sobotę będę już z powrotem, by coś zrobić w kościele.

— W poniedziałek będziecie grać w sali w Wietrowie, może się tam spotkamy.

— W sali?

— Mówił pan kantor. Jakże chętnie potańczę. Żegnam więc pana, bo się już pewnie nie zobaczymy— i podała mu rękę.

Uścisnął podaną rączkę, w oczach mu pociemniało.

Nie poszedł do kościoła, lecz oparłszy się o ścianę, stał, w las zapatrzony...

— Nie tak nagle, panie preceptorze! — odezwał się głos tuż za nim i uczuł dotknięcie ramienia.

Był to Adam Hejn.

— Do kobiet nie można przystępować z płaczem; one, podobnie jak kwiczoły, przywabiają się śpiewem wesołym. Miłość czyni człowieka szalonym, nie trzeba się więc poddawać!—przestrzegał były topielec, widząc zaś, że młodzieniec się chmurzy, dodał:—Nie macie się o co gniewać, panie preceptorze, Adam Hejn nie ubliży, proszę mi wierzyć, że to dziewczę bardzo panu przychylne. Chodźmy do kościoła.

Skierowali się obaj na chór.

X.

W poniedziałek wielkanocny preceptor wrócił właśnie z rannej Mszy, gdy ukazała się w jego pokoiku żona kantora, niosąc jajko pięknie pomalowane.

— To panu mam oddać — mówiła, uśmiechając się filuternie.

— Od kogo?—pytał zdumiony.

— Nie wolno mi tego wyjawić—roześmiała się, podnosząc ramiona.

Pomocnik rozradowany domysłem, że dar pochodzi od tej, o której myślał bezustannie, przyglądał się pięknemu rysunkowi wianeczka z kwiatów, z napisem w środku: „Z serca."

— To od kogoś bardzo dobrego, niech mi pan wierzy—dodała z tym samym uśmiechem.

Wychodząc, jeszcze się odwróciła i jakby sobie przypomniawszy, powiedziała z naciskiem:

— A w Wietrowie niech i pan potańczy!

— Ależ ja wcale nie umiem.

— To pięknie, żeby taki młodzieniec nie potrafił się pokręcić. Jeśli tam będzie Albinka, to proszę

z nią przetańczyć. Choćby za... — i pani kantorowa umilkła nagle.

— Ja naprawdę mało umiem—bronił się ciągle młodzieniec.

— Ona panu wybaczy wszelkie błędy.

— Gdy będzie jej ojciec, niepotrzebnieby się gniewał, że jego córkę preceptor obtańcowuje. Na plebanii tak się ujemnie wyrażał o stanie nauczycielskim.

— Pan Podzimek jest bardzo pracowitym i chciwym na pieniądze, jakie zgromadza skwapliwie, nie potrzebuje jednak się przechwalać; ma dwóch synów, a chaty dla nich jeszcze nie zbudowane. Nie zwracaj pan na nic uwagi i jedź dla Albinki.

— Może i ona byłaby niezadowoloną i wstydziłaby się, będą tam pewnie jej znajomi studenci—jąkał się preceptor.

— Oj, oj, ale ja pana doskonale rozumiem—roześmiała się serdecznie.

— Słowo daję, ja chętniebym uciekł od ludzi.

— Już, już pana te czarne myśli napadają. Któż to słyszał wiecznie narzekać? W górę głowę, śmiało, wesoło na świat spoglądać. Gdyby żyła matka pańska, tosamoby powiedziała.

Pomocnik milczał.

— Niech mnie pan słucha, niechaj pan ufa, że dobrze mu radzę.

Zostawszy sam, znów oglądał miły mu podarek.

— Jakąż mi śliczną pamiątkę przygotowała, z Pepiczką razem musiała ją zrobić „Z serca."

Schowawszy jajko do kufra, zaczął się jednak trapić myślą, iż Albina więcej takich podarków rozdała.

. . . . . .

Idąc do babki w Wielką Środę, miał nadzieję ujrzenia Albiny w Wietrowie, lecz wcale jej nie spotkał.

Z babunią czas mu przeszedł nader przyjemnie; chwilami marzył o tem, by módz nie wracać już do Pozdietyna, chwilami nie mógł się doczekać dnia powrotu, chciał się znaleźć prędzej w swoim pokoiku; wyczekiwał końca świąt.

To wszystko było wynikiem gorącego uczucia. Odchodząc z Lan, płakał, jak podczas pierwszej podróży do Pozdietyna. I tym razem nie zobaczył Albinki.

Po południu, po nieszporach, pan kantor, biorąc na ramiona kontrabas, dorzucił:

— To nie jest lekka muzyka. Dziś dobrze go nastroiłem, kupiłem też taśmę i sprzączkę.

Pomocnik stał już we drzwiach ze skrzypcami w lewej, z paczką nut w prawej ręce.

Stary „scholasticus" siedział przy piecu, Wacław z matką przy stole.

— Wytańcujcie porządnie, panie pomocniku, panienki z Wietrowa—mówił przez zęby Podrużek, paląc wciąż fajkę.

— Bądź zdrów, chłopcze! — żegnał nauczyciel syna, całując go serdecznie.

Wacław był dorodnym młodzieńcem, o ciemnych włosach, po ojcu odziedziczonych, i błękitnych oczach matki.

— Szczęśliwej podróży, panie nauczycielu! — zwrócił się Wacław do Czermaka.—Jutro ja znów powędruję.

— Dopieroś przyszedł, mój synu, i już odchodzisz, czas pędzi, ucieka, jak wiatr! — mówił ojciec smutnie i wyszedł prędko z pomocnikiem.

Wacław z matką wyprowadzili ich na podwórze.

— A niech pan nie zapomni o mojej radzie — wołała pani kantorowa.

— Postaram się — odparł młodzieniec z uśmiechem.

— Jakże ci się, mój miły, nasz jedynak podoba?—pytał pryncypał swego pomocnika.

— Może pan być z niego dumnym! Tęga to głowa. Rozmawialiśmy wiele o czasach iczyńskich. Wacław, jak widzę, doskonałym jest uczniem. Kiedy mi tak pięknie o swej nauce opowiadał, doznawałem wrażenia, iż poszedłbym z nim chętnie do Iczyna, do tych starych profesorów na naukę... Widziałem się znów w tym żółtym domu za kościołem św. Ignacego, w tych nizkich zakurzonych salach, w poniszczonych ławkach... w myśli siedziałem nad ćwiczeniem łacińskiem! Jakie to były piękne czasy! Wacława zajmuje bardzo szkoła.

Pan kantor potakiwał głową, twarz jego promieniała radością.

Na końcu wioski przy drodze czekali już: trębacz, Adam Hejn, i waltornista, Pażout.

Adam, nizki, zdrowy, jak dąb; Pażout wysoki, chudy, kościsty.

Firmament był czysto błękitny, słońce świeciło, ale czarne już pola pokrywała cienka skorupa lodowa. Ziemia była nagą, lasy zieleniły się, na łąkach błyszczały jakby maleńkie stawy; tam, gdzie się wody nie zebrały, wychylała się zżółkła trawa, ze zwiędniętemi źdźbełkami. Wśród tych potoków słońca, oświetlających baraki i chaty, drżały one, niby staruszkowie, wygrzewający się przy ciepłym kominku.

W lesie oddychało wszystko wilgotnym chłodem, po pniach ściekały strugi, z gałęzi krople wody opadały na mech i darń pożółkłą. Rozwichrzone i opa-

dające świerki i jodły zdawały się szeptać jakąś radosną nowinę, wchłaniać w siebie ożywcze powietrze.

Kiedy muzykanci wychodzili z lasu na obszerne pola, z bruzd wydostał się skowronek i wzbił się w jasny lazur, zawodząc piosnkę wesela, wiosny.

W milczeniu przysłuchiwali się śpiewowi tego zwiastuna odradzania się natury i patrzyli na rozległą okolicę, kąpiącą się w promieniach słonecznych.

Kokrhacz stał zupełnie czarny, bliższe góry były ciemno-błękitne, najbliższe—zielone. Szczyty i boki Karkonosz śnieg jeszcze pokrywał.

— Dziś więc, panie preceptorze, pierwszy raz z nami zagracie—zaczął Adam Heja.—Już to nie tak, jak dawniej bywało. Na całym świecie wciąż mężczyzn ubywa, a kobiet jest tyle, ile kwiczołów w jesieni i grzybów po deszczu.

— Świat jest nienasycony, im dalej, tem gorzej — mruknął Pażout.—W piwie teraz rdzy, jak na starym nożu. Gdzie dawniej z kuchni w gospodzie rozchodziła się miła woń pieczonej wołowiny, cielęciny, ptactwa różnego, dziś pachną odgrzewane, puste rondle po odpuście. Bieda, bieda straszna! Nie potrzeba nawet okularów, by ją dostrzedz. Świat stanowczo już przeludniony!

Pażout mówiąc, nie spojrzał na nikogo, tylko w ziemię wzrok zagłębiał.

— To każdy powtarza, dziaduniu!—wesoło przerwał kantor. — Ja myślę, że tak właśnie jest dobrze. Jeśli w gospodzie mało gości, to bieda! Im więcej ludzi, tem lepiej. Wiele ludzi, to wiele utargują, zapracują, wiele się uczą i myślą!

Przez chwilę szli w milczeniu.

Rozległe pola, martwe jeszcze, tonęły w słońcu.

— Rok temu młody Żalak był w Wietrowie, a dziś w ziemi spoczywa! Wówczas tańczyła jego

żona z takim ogniem, że oczy jej pałały żarem, wrócili do domu nad ranem dopiero—prawił Adam.

— Podobno jest dobrą, sam ojciec mi mówił, że im cały majątek powierzyła—przydał Pażout.

— Toż są dziwni staruszkowie! Jedną nogę mają już w grobie, drugą nad grobem, a jeszcze chcą rządzić. Wątpię, czy wdowa będzie długo tak dobrą. Na pogrzebie płakała, jestem jednak pewny, że myślała: Gdyby tak zastać w domu już innego, a lepszego od Lojziczka!

— Oj, złośliwy z ciebie człowiek, mój Adamie!— groził mu nauczyciel.

— Tak, tak, tak, ale przecież życzę każdemu szczęścia.

Po chwilowej pauzie znów zaczął mówić;

— Kantorom życzę pieniędzy, preceptorom (Hejn spojrzał ukradkiem na pomocnika) ładnej dziewczyny, doktorom bogatych podagrystów; takim księdzom, jak nasz i z Wietrowa zamożnych starców i pobożnych niewiast, dzieciom rozumu; restauratorom zagłady wszelkich zakładów leczniczych, muzykantom ciepłej gospody, zimnego piwa i nowej polki; wdowom zdrowego rozsądku, kucharkom suchego drzewa, łapiącym ptaki cierpliwości, a wszystkim wiernym Czechom dobrego bata w ręce.

Mówiąc to, z przejęciem maszerował, jak młodzieniec.

— At, to masz życzeń!—zaśmiał się Pażout.

Kantor śmiał się tak głośno, że potrącony smyczek od kontrabasu zadźwięczał.

— Patrzcie, i bas się śmieje.

— Czyż nie powiedziałem prawdy? — pytał poważnie Adam.

— Zapomnieliście o urzędnikach.

— Ah, tym lucyperom i rogatym czartom nic nie życzę, chyba kwasu, zamiast wina.

— A sobie czego?—zagadnął kantor.

— O, gdybym ja był Szwajcarem, maszerowałbym między wami, niby jaki maesteso! — głośno deklamował i robił takie miny, że wszyscy się zaśmiewali.

Jarzębiny rzucały długi cień na prostą, jak strzała, drogę. Koloryt lasu zmieniał się: blizkie bory coraz więcej ciemniały, oddalone jaśniały. Bezdiez i Ralsko [1]) szarzały na tle jasnego sklepienia; wioski u podnóża lesistych gór wyglądały jak kurczęta, garnące się pod skrzydła kwoki.

— Po złożeniu instrumentów zajdziemy, bracie, do szkoły, ażeby państwo Haudek nie wygadywali później.

— Jemu dobrze na świecie! Żeby choć jeden rok przeżyć tak po śmierci! — westchnął Adam. — On tylko się przewraca, uśmiecha i cmoka... Ale nie zawsze tak mu się powodziło. Kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, chodził on śpiewać na odpusty w Trzech Króli i otrzymane kołacze kantorowi odnosił; w południe zwykle dzwonił, zarabiał tylko na buty i to jeszcze kantorowi oddawano. Haudek nic nie dostawał. Cały rok nosił trzewiki, a nankinowe ubranie wisiało wprost na nim. Nasza nieboszczka babka zwykle mówiła: „Boże, Boże, ten pomocnik z Przychowa napewno ma suchoty, on długo nie pociągnie!"

Adam słowa te powtarzał tak żałośnie, że Pażout zanosił się od śmiechu.

— A teraz wygląda, niby miesiąc w pełni, a kark ma tłuściutki, świecący, jak, nie przymierzając,

---

[1]) Szczyty gór.

karmnik przed zabiciem. Przed sześciu, czy siedmiu laty ukradziono mu osiem szynek z komina, drugiego dnia chciano mu zabrać kilka gęsi z kurnika i pierzyny z góry. Biegnie więc nasz pan kantor, Haudek, do hrabiny w Milowie prosić o pomoc, gdyż go złodzieje całkiem ograbili. Narzekał tam, utyskiwał na ciężkie życie kantora: tylko bieda, nędza, głód i inne plagi egipskie, niema co do ust włożyć, jęczał on. Przy tej audencyi był i młody hrabia, a skoro skończył nauczyciel, on go poklepał po tej kamizelce, wiecie, po tej błyszczącej, jabym z niej miał całe ubranie i zapytał: „A zkądże się wzięła ta beczułka?" Haudek zmieszał się, wykrzywił, jak po zażyciu gorzkiego leku, zgiął się, jak tylko mógł, i odezwał się uprzejmie i słodko, on to umie doskonale: „Pokornie całuję ręce jaśnie wielmożnego pan, to wszystko z mleka, jedynie z mleka!"

Muzykanci roześmieli się serdecznie, Pażout już nie mógł ustać ze śmiechu.

— Ah, Adamie, Adamie, wybyście przegadali samego św. Piotra przy bramie niebieskiej! — żartował rozbawiony pryncypał.

— Przecież to wszystkim wiadome — bronił się Adam, wywracając oczyma;—znam to dobrze, z Haudkiem zacząłem chodzić z muzyką. Dopóki się nie ożenił z Leokadyą, siostrą byłej kucharki na plebanii w Bruskowie, wyglądał, jak zmora, ona tak go odkarmiła, że ledwie się rusza.

— Mimo wszystko, trzeba mu przyznać, że zdolnym był preceptorem i dobrym grajkiem — zauważył pryncypał.

— Był, był, i ja mu też wiele obowiązany jestem — przyświadczał Adam.—Chodziłem z nim przez lat kilka z muzyką i zawsze się ze mną dobrze obchodził. Ma on szczęście, życzę mu tego z serca; niestety, nie każdemu pomyślnie życie przechodzi.

Preceptor z Kalina po lekcyach pasał krowę i jeszcze to czyni.

— Będzie ją nadal pasał, wina to żony, której się zdaje, że tak, jak swoim mężem, całym światem może rządzić; ale się jej to nie uda — rzekł pan kantor.

— Nauczyciel z Oleśnicy z powodu długów obawia się wyjść z domu i dowodzi, że gdyby nie miał długów, niczegoby już nie posiadał—zaśmiał się Hajn ironicznie.

— Jednych szczęście na skrzydłach unosi, a ci, których chrzestni rodzice, idąc do chrztu, spotkali babę, nie mają go wcale oczekiwać. Ja zawsze powtarzam: Zaszczytny jest zawód nauczycielski, ale i bardzo ciężki—zakończył pryncypał.

Pierwsze białe domki Wietrowa ukazały się oczom naszych podróżnych. W miarę zbliżania się do miasta potęgowała się niecierpliwość, a jednocześnie jakiś lęk i tęsknota pomocnika. Kiedy wchodzili w rynek, zabudowany porządniejszemi domami, Adam przystąpił nieznacznie do preceptora i szepnął;

— Ot na lewo posiadłości Podzimka.

Młodzieniec nieśmiało spojrzał na zabudowania, składające się z domku, do którego prowadziła brama o trzech słupach drewnianych, ogromnej, starej stodoły, obok obszernego podwórza. Szybko wzrok odwrócił w inną stronę, czuł bowiem, że fala krwi całą twarz mu oblewa...

Zostawiwszy w gospodzie kontrabas i skrzypce, nauczyciele poszli do szkoły. Zaledwie ujrzała ich pani Haudkowa, wybiegła na spotkanie. Była to nizka, szczupła kobiecina. Włosy, nadzwyczaj rzadkie, rozczesywała nad czołem, wargi miała wązkie, wybladłe, usta bezzębne.

— A to goście — wykrzyknęła, klaskając w rę-

ce. — Witam panów, witam! Dobrze, iż pamiętacie jeszcze, gdzie stoi wietrowska szkoła. A to młodzieniec, o którym wiele słyszałam; ksiądz Chwala opowiadał nam, jak pięknie śpiewa, jaki uczony. Witam, proszę dalej. Mój mąż i córki ucieszą się bardzo.

Biegnąc naprzód, jakby ją kto gonił, przeszła przez kuchnię, otworzyła pokój i wołała:

— Dzieci, dzieci, patrzcie, kogo wam prowadzę!— i zapraszała dalej nauczycieli.

W pokoju były trzy córki i pan kantor Haudek, wysoki, tłusty, o świecących policzkach, wielkim zadartym nosie, jasnych, rzadkich włosach.

— A, a, a! witam was! Jak się masz, panie bracie — mówił wolno, nadzwyczaj uprzejmie, a objąwszy w ramiona pana kantora, wycisnął mu na twarzy trzy głośne pocałunki.— Witam cię, młodzieńcze — zwrócił się do pomocnika i również obdarzył go pocałunkami.

— Oto, panie preceptorze, trzy nasze latorośle: ta najstarsza największa patryotka Babi, ta średnia Zofia jest doskonałą śpiewaczką, najmłodsza Fany pięknie wyszywa i robi szydełkowe roboty. Proszę patrzeć: te serwety na kanapie, stole, kapy na łóżkach, wszystko swemi rękoma zrobiła — trzepotała pani Haudkowa, jak młynek.

— Niech nas mama nie przechwala — cedziła Babi, dziewczyna, jak matka chuda, z zapadłemi, kościstemi policzkami i żółtą cerą, również bezzębna, o wązkich, blednących już wargach.

— No, no, no! — przeciągając, cicho, słodko szeptał Haudek i częstował gości tabaką.

— Wiesz, że nie przechwalam, siadajcie panie nauczycielu, proszę panie preceptorze, nie przepuszczam ja wam niczego, ale prawdę mówiąc, mam z was wiel-

kie wyręczenie. Powiadam panom, dziewczyny wszystko, wszyściuchno za mnie zrobią.

Pryncypał Haudek mruczał tylko, jak kot, wygrzewający się na słońcu.

— Pięknie to z waszej strony, kolego, żeś przyszedł i tego młodzieńca przyprowadził.

— Mam ukłony od żony—mówił kantor z Pozdietyna.

— Bardzo dziękuję. Mogłaby też pani zajść do nas; jeśli my, żony nauczycieli, nie będziemy z sobą żyły, to jakże będą się względem nas zachowywały wieśniaczki, majstrowe i kupcowe; one już teraz nie wiedzą, jak mają mówić, zwłaszcza młode, przekręcają, kaleczą język niemiłosiernie. Prawda, każda z nas wiele ma pracy i obowiązków, więc siedzimy w domu, kochamy się też bardzo.

Pryncypał, słuchając krasomówczej przemowy swej żony, upajał się szczęściem, kiwał tylko głową i całem tułowiem. Pozdietyński nauczyciel i pomocnik siedzieli na kanapie, naprzeciw nich małżonkowie Haudkowie, Babi po prawej stronie stołu, Zofia po lewej, najmłodsza, nizka, pulchna, świeża i ładna Fany stała przy oknie.

— Czy pan nie występuje w teatrze amatorskim? — ściągając dziwnie usta, pytała się Babi preceptora. Głowę w bok przechyliła i patrzyła się tak, jak pająk na muchę.

— Raz grałem przed dwoma laty.

— O! my to chętnie czynimy; gdy co się robi dla ojczyzny, my pierwsze udział przyjmujemy. Obecnie jednak zwróciłyśmy dwa razy nasze role, ksiądz Chwala wybiera bowiem takie proste wieśniaczki, że trudno się z niemi mieszać — mówiła słodko, pochylając skromnie swą główkę na lewe ramię.

— Już to nie to, co bywało; ksiądz naznacza takie dziwne sztuki, niepodobne do dawnych. Na

„Czartowskim młynie", „Abelinie", „Janie Dolynskim" [1]) można się było uśmiać i napłakać — wzdychała Haudkowa.

— Nasi amatorowle mogliby i w stolicy wystąpić; dziewczęta nasze najtrudniejszym nawet rolom sprostają. Byłem niedawno w Milowie na przedstawieniu, grała wtedy trzydziestoletnia kobieta rolę szesnastoletniej zakochanej dziewczyny, a do tego, jakby to najlepiej powiedzieć, no, no za trzy tygodnie potem wyprawiała u siebie chrzciny!—chichotał Haudek.

— Ależ *Vaterle, Vaterle!* — spuszczając głowę i przymrużając oczy, wykrzyknęła Babi.

— Mój mąż na nic uwagi nie zwraca — cedziła pani domu, załamując ręce.

— Mówię tylko prawdę.

Zofia siedziała w milczeniu, niby nic nie słysząc, gdy się zaś wszyscy roześmieli, zacisnęła cierpko usta; Fany w okno patrzyła.

— Jak tam dziś u panów będzie? — zaczęła znów Babi. — Wybieramy się z mamą, lękamy się jednak, czy nie będzie wielkiej mieszaniny.

— Niech panie przyjdą, ślicznie zagramy, mamy same czeskie tańce: „Fale Weltawy", „Polkę Karkonowską", „Bitwę na Hostynie" — wyliczał pan nauczyciel. — A co porabia pański preceptor?

— Et, o nim to i mówić nie warto. Chciałby wysługiwać się moim mężem. Poco ożenił się z prostą wieśniaczką, nie zastanowił się nad tem wcześniej, a teraz już za późno. Nie potrafi mleka ukwasić, a jej gotowanie nawet dla żebraków za marne— prawiła pani, a mąż potwierdzał skinieniem głowy.

— Nie może jej przyprowadzić do lepszego to-

---

[1]) Stare komedye czeskie.

warzystwa, bo przecież nie umie mówić — dorzuciła Babi.

— Ależ, mamusiu, mamusiu — poczęstujże nas piwem — szczebiotał Haudek.

— Boże, Boże, toż mam głowę! Siedzę i rozprawiam, a panowie mają pewnie pragnienie — wstając, zawodziła kantorowa.

— Bóg zapłać, nie będziemy pili, dziękujemy uprzejmie. Mamy przed sobą całą noc, musimy już odejść — powiedział stanowczo pryncypał i obaj z pomocnikiem wstali.

— Siadajcie, panowie, siadajcie! jeszcze się dość nagracie — zapraszała gospodyni. — Wam, panie Czyżku, dobrze na świecie, macie jednego syna, ot i cała wasza troska. Ale ja nieraz tracę już głowę. Bo rozważcie, proszę: mam trzy córki i każdej muszę dać wyprawę, aby się nie powstydzić później, to jest nielada praca. Każda ma swój kufer, do którego się wszystko składa; dwa już są pełne, jeno Fanynki niezapełniony, lecz to jeszcze dzieciak — ni ztąd, ni zowąd opowiadała Hadkowa."

— Fanynka musi użyć panieńskiego żywota — śmiał się Czyżek.

— Ja i tamtych nie zapędzam do małżeństwa, niech jeszcze posiedzą w domu, u rodziców najlepiej i one są tego zdania, nie spieszą się też z pójściem za mąż. W każdym razie, czy pannami zostaną, czy wyjdą za mąż, nie potrzebują się lękać o utrzymanie — obojętnie mówiła kantorowa, Babi zaś mięła nerwowo fartuszek.

— Albina Podzimkówna przyjechała na święta— przerwała ona zbyt długie milczenie po matczynej przemowie.

— Obiecała przyjść na zabawę — dodał pryncypał — to dziewczyna, jak pączek róży.

— Gdyby tylko nie przychodziła na chór śpiewać, zawsze mi przeszkadza — po raz pierwszy odezwała się Zofia.

— Daj jej spokój, przecież się przez cały rok naśpiewasz — dobrotliwie podjęła matka. — Wiadomo, taka prosta dziewczyna wszystkich naśladuje, a sama nic nie umie. Niektórzy ludzie mają szczęście! Wasz proboszcz np. licznych krewnych posiada, a wszystko tym Podzimkom oddaje!

— Kogo lubi, temu, jak może, pomaga. Mawia on, że krewni więcej, niż on mają — odparł Czyżek.

— Tak, Podzimkowie umieją się przypodchlebić, nie dziwię się im jednak, boć się w chałupie nie przelewa!

— Musimy iść, bracie, musimy!

— Mh, hm — mlaskał Haudek — czemuż ten pośpiech, użyjecie zabawy.

— A niech pan, panie kantorze, nie trzyma tego młodzieńca przy muzyce, zachęci do tańca — wtrąciła znów pani.

— Ihi! gdzie Czermakowi do tańca, wszak pani mogła zauważyć, że to skromna panienka — rzekł ze śmiechem pryncypał, obejmując młodzieńca.

— A to byłoby pięknie! coby o panu pomyślały panienki. Czyż pan nie patryota? Przecież taniec to zaraźliwa choroba u Czechów—szczebiotała wdzięcznie Babi.

Przy tej rozmowie przedostali się szczęśliwie do drzwi.

— Żegnam państwa, bywajcie zdrowi! — mówił Czyżek.

Pomocnik ukłonił się tylko.

— Żonie ukłony, niechże nas odwiedzi, a i panowie nie zapominajcie o nas — w sieni jeszcze wołała Haudkowa.

— Dziękujemy, z Bogiem!

— Ten Czyżek ma szczęście — wzdychał kantor, zażywając z lubością tabakę. — Dostał takiego pomocnika, że rzadko podobnego znaleźć, spryt i nauka z oczu mu patrzy.

— Bo umie się z ludźmi obchodzić, nie siedzi wciąż za stołem — opryskliwie odcięła się żona.

— Hm! hm — mruczał Haudek, mlaszcząc i wyszedł z pokoju.

Kobiety śledziły wzrokiem nauczycieli, dopóki nie zniknęli na zakręcie ulicy.

— Poznałeś tedy całą rodzinę — odezwał się pryncypał, wchodząc na rynek. — Najmilszy jest mi Haudek stary, mimo tego, że zwykle urzędnikom i księżom mówi: pokornie rączki całuję, to już wina jego żony, on sam jest dobrym człowiekiem. Te cztery kobiety, to istny skład bajek. Młode je zbierają, przynoszą, stara, niby książka pamiątkowa, wszystko to porządkuje i w całości przechowuje.

— Podobno są bogaci — przerwał preceptor.

— Podług ich opowiadań, tak, w rzeczywistości jednak nie są bardzo zamożni. Najbogatszym jest kantor Czernawskiej szkoły, Mrzkosz, ale trzeba wiedzieć, na czem grosz zebrał. Prowadził on rozległy handel drzewem; podczas lekcyj gonty wyrabiał, a uczniowie je układali. Szkoła otoczona bywała gontami, które pan kantor sprzedawał daleko. Żona nadto się zajmowała inwentarzem, drobiem, przędła len i sprzedawała go również. Dodajmy do tego zarobek z muzyki, toż dobre źródła prędkiego wzbogacenia się.

— A nauka w szkole?

— Ej, to, mój chłopcze, na ostatnim planie! Tak się dzieje na świecie. Chociaż wiem, że grabarz sumienia mego nie wykopie, jednak uczę tak, żeby dzieci miały po mnie jakąś pamiątkę. Czynię to jedynie

dla swego sumienia, widzę bowiem, co się dzieje na świecie, jak ludzie złe i dobre oceniają jednakowo! Ot, jesteśmy na miejscu.

Przed gospodą roiło się mnóstwo dzieciaków; w sieni stał kram z piernikami, właścicielka jego wymyślała wszystkim, co dotykali się słodkiego towaru.

Sala była już oświetlona, gdyż zasłony wełniane u okien zmrok powiększały. Na białych ścianach wisiały, od karnawału jeszcze, wieńce z choiny, mocno już zczerniałe, od sufitu spuszczał się ośmioramienny świecznik ze świecami.

Na lewo od drzwi stała twierdza, bufet: na wielkim stole czekał rząd ponumerowanych, czyściutkich kieliszków, butelki z winem i likierami, mieniące się tęczowemi barwami. Na ścianie obok wisiała czarna tabliczka z numerami po boku, nad nią zwieszały się dwa kawałki kredy.

W głównym rogu umieszczona była estrada dla muzykantów; drewniana, pokryta białem płótnem, zniszczone festony z zieleni ozdabiały całość. Dokoła sali porozstawiano ławki dla tancerek i ich opiekunek; obok otworzony pokój mieścił stoły nakryte.

Muzykanci zebrani oczekiwali tylko kantorów. Po wejściu Czyżka i Czermaka zaczęto stroić instrumenty. Na początku estrady usiadł Czermak, obok niego Pejszoch i Skrziwan, wszyscy ze skrzypcami; dalej Szwejc z Tolarem, klarneciści; Adam Hejn, Cziszka z trąbami, Pażout z waltornią, kantor z kontrabasem usiadł w głębi. Kiedy wszystko było w porządku, pryncypał podniósł wielki smyczek i po sali rozbrzmiały dźwięki „Symfonii" Jirowca [1]), głosząc całemu miastu zagajenie zabawy.

---

[1]) Jirowiec, muzyk, kompozytor czeski (1763—1850).

Po symfonii nastąpiła długa pauza, podczas której muzykanci zostali na swoich miejscach, oczekując tancerzy.

Najpierw ukazał się krępy, rumiany restaurator, w białym fartuchu i wraz z duchem opiekuńczym, w niewieściej postaci, wszedł do swej twierdzy.

Pierwszymi gośćmi byli studenci i uczniowie. Mieli oni na sobie długie, gładkie surduty, na szyi kanciaste kołnierze, w których tonęły tłuste ich podbródki, krawaty w formie ogromnych kokard (napewno z czepców matczynych, mówił Adam), mieniące się kamizelki z guzikami do oczu królika podobnemi, atłasowe, drobno karbowane napierśniki, a w nich powpinane błyszczące szpilki z drogiemi kamieniami, opięte spodnie nankinowe, na nogach lekkie trzewiki ze sprzączkami z boku. Niektórzy mieli binokle, czarne rękawiczki, włosy uperfumowane i ufryzowane. Wszyscy przechadzali się z wdziękiem po sali.

Przyszli nakoniec ojcowie i matki z córkami. Ojcowie, ubrani w długie surduty, w chusteczkach na szyi, w spodniach na buty spuszczonych, albo w cholewy wsuniętych. Kilku trzymało w palcach cygara, paląc je z powagą. Matki były w strojach wieśniaczych i miejskich. Jedne miały włosy gładko uczesane, inne ubrały się w złote czepce, a jeszcze inne w białe chustki. Miały szerokie jedwabne fartuchy, albo angorowe szale, jedwabne lub wełniane suknie, długie kaftany, to znów krótkie staniki z bufiastemi rękawami; nogi obute w skórzane, nizkie trzewiki; wieśniaczki nosiły aksamitne pantofle i białe pończochy.

Panienki przedstawiały urozmaicony widok. Można było spotkać dziewczęta z rozpuszczonemi włosami, wijącemi się zalotnie po białych ramionach, inne w lekko przewiązanych złotym sznurem, drugie znów

w gładkiej fryzurze, z kilku filucikami koło uszu. Na ramionach niedbale zarzucone, wyszywane suto chusteczki, spięte były z przodu drogocenną broszką. Prawie wszystkie włożyły białe, perkalowe lub muślinowe suknie z olbrzymiemi rękawami, w wielu miejscach przemarszczonemi (zmieściłoby się w nich kilka ćwierci jabłek—zapewniał Adam Hejn). Wiele panien zdobiły szarfy z lekkiej materyi: zielonej, czerwonej albo niebieskiej barwy, przewiązane w ten sposób, jak noszą adjutanci. Złote krzyżyki i medaliony świecące na szyi zawiesiły.

Panowie muzykanci zagrali walca Weselskego [1]): „Odgłosy łąk czeskich" i sala zaroiła się tańczącemi parami.

Ojcowie siedzieli w pokoju obok przy piwie, matki mieściły się przy ścianie sali. Na twarzach obecnych rozlewał się błogi uśmiech.

Pomocnik na pozór grał spokojnie, z przejęciem, serce jednak biło mu szybko, myśl pracowała nad rozwiązaniem pytania: Czy przyjdzie? Zmiarkowała chyba, że przyjściem zmartwiłaby mnie bardzo. Pewnie w domu zostanie! Cieszył się tą nadzieją i z pogodną myślą zbliżył się do pulpitu, wpatrzył się w nuty i grał, że aż skrzypce śpiewały.

Pani Haudkowa zjawiła się z Babi i Zofią. Babi w powiewnej, białej szacie, szła jak przepiórka w życie, uśmiechając się, kłaniała się na wszystkie strony niby podlotek. Zofia posępna, kroczyła uroczyście, po królewsku.

Muzykanci skończyli galop „Fale Wełtawy," preceptor, kładąc skrzypce na pulpicie, spojrzał nieznacznie na koło tanecznikow. Zbladł nagle i omało nie spadł z ławki. Albina już była w sali i zaczynała

---

[1]) Weselsky—kompozytor czeski, ur. 1810 r.

tańczyć. Porwał ją w wir zabawy ten kędzierzawy student w binoklach. Mówił coś do niej, oczy mu błyszczały, dwoma palcami kręcił swe wąsiki; Albina wpatrywała się w niego z uśmiechem.

Czermakowi serce biło, jak młot, ledwie mógł oddychać. Taka była piękna! Biała, skromna suknia uwydatniała doskonale jej zręczną, pełną figurę, główkę miała, jak wyrzeźbioną. Dołeczki w brodzie i na policzkach dziś uwydatniały się więcej przy uśmiechu. Pomocnik nachylił się, przypatrywał się skrzypcom niby, tymczasem zaś zęby zaciskał, przymykał oczy, by łzy z nich nie wytrysły. W sali zapanowała głęboka cisza, ukazała się w niej Żalaczka z siostrą i strzelcem pogranicznej straży. Głowę w górę podniosła, oczy pałały ogniem, biust falował i uwydatniał jej małą objętość w pasie. Czarna jedwabna szata wlokła się z szumem po podłodze.

— Czy tego w drodze nie przepowiedziałem?— zwrócił się Adam Hejn ku preceptorowi, targając nerwowo swe wąsy.

Wszyscy usunęli się Żalakowej, która weszła z siostrą do przyległego pokoju, a za chwilę siedziała już w kole pań. Strzelec stał obok niej, gładził włosy, kręcił wąsy, a wciąż bawił wesołą rozmową.

Głowy młodych i starych nakłaniały się ku sobie z szeptem, gniewne, ostre spojrzenia posyłano w stronę młodej wdowy, która w tak krótkim czasie po śmierci męża zjawiła się na zabawie tańcującej. Nie tłómaczyła jej nawet obecność siostry i rola opiekunki.

Albina zniknęła na chwilę pomocnikowi, wkrótce jednak spostrzegł ją znów. Siedziała blizko muzykantów, obok nizkiej, uśmiechniętej damy. To pewnie jej matka—pomyślał, a kiedy zobaczył, że coś w ubraniu jej poprawia, utwierdził się w swem przypuszczeniu.

Podzimkowa miała strój wieśniaczy, cały wygląd mówił o wielkiej jej dobroci. Albina spojrzała na Czermaka, ten spuścił oczy, ale zdążył zauważyć, że wejrzenie jej było ciepłe, serdeczne. Cóż to jednak znaczy, kiedy ona równie mile, a może i milej na studenta patrzyła. Przyniósł on właśnie matce i córce po kuflu piwa. Albina, umoczywszy zaledwie usta, znów na młodzieńca zerknęła. On obojętnie rozglądał się po sali i spotkał z oczami Żalakowej, wpatrującej się w niego przenikliwie. Uśmiechnęła się doń przyjaźnie, lecz Czermak zdawał się jej nie widzieć. Zresztą nie było na to czasu, gdyż kantor dawał już drugi sygnał do rozpoczęcia nowej sztuki. Pomocnik postanowił skupić całą uwagę i siły nad muzyką, by się nie zmylić i nie okryć się wstydem, na tańczących ani spojrzy. Umyślnie tak będzie robił, niech ona inaczej postępuje. Grał z przejęciem, nuty oczyma połykał, jednak śledził ją wzrokiem: najpierw tańczyła z tym samym, później z innym studentem. Potem usiadła przy matce, brunet znów przy niej. Obrócił się w stronę Pejszocha, barczystego o czerwonym nosie grajka, i rzekł obojętnie:

— Jakież tu gorąco!

— Okropne, ani kropli rosy niebieskiej.

Momentalnie zjawił się strzelec i ogromny kufel blaszany z piwem podawał kantorowi.

— Proszę podać pierwszemu z brzegu.

Pomocnik wziął kufel i podał go sąsiadowi. Ten obrzucił go zdziwionem wejrzeniem i mruknął:

— Przecież panu gorąco było?

— Pijcie, przyjdzie i na mnie kolej.

— No, ja się wyprzedzić nie dam i zaczął pić chciwie.

Strzelec straży pogranicznej powrócił do Żalakowej. Był to zręczny, jak utoczony młodzieniec. Mundur doskonale opinał jego wysmukłą figurę. Płeć

miał śniadą, oczy błyszczące, niby dwa węgle żarzące, włosy czarne, jak pióra krucze.

Opowiadał coś Żalaczce, ona się śmiała; nagle spochmurniała i zerknęła na pomocnika; on wzdrygnął się cały, jakby go kto sparzył.

Żalakowa siedziała z siostrą samotna, nikt, prócz strzelca, nie zbliżył się do niej. Każdy chciał jej dać uczuć, co myśli o dzisiejszej obecności na tańcach.

— Ona go już miała za życia męża, stara miłość nie rdzewieje—odezwał się Adam Hejn.

— Miała, czy nie miała, wszystko jedno; to porządny człowiek, on pierwszy o nas pomyślał—mruczał Pażout.—Ja już byłem podobny do wodnika, przywiązanego na lądzie stałym do słupa.

— Wam zawsze sucho, jak na pustyni—odciął Adam.

Pomocnikowi ból serce przeszywał. Podczas muzyki Albina przechodziła z rąk do rąk, a w antraktach bawiła się też wesoło. Udawał, że go to nic nie obchodzi, nie uszedł mu jednak ani jeden jej uśmiech, patrzył na nią zupełnie obojętnie.

Przed dziesiątą przysunął się do niego Hejn i szeptał do ucha:

— Panie preceptorze, czemu się tak męczyć, niech pan spojrzy, koło niej tylu, ilu żydów przy arce, trzeba z niemi powalczyć! Niech pan skrzypce powiesi, a pójdzie do koła, proszę mi wierzyć, dobrze radzę.

Pomocnik w milczeniu zaprzeczył ruchem głowy.

— Czeka na to, niech mnie pan usłucha.

— Za nic w świecie!—brzmiała odpowiedź.

— A więc, niech się pan trapi!—zawołał i zajął swoje miejsce.

Albina stała właśnie w towarzystwie owego bruneta i dwu innych tancerzy, głową skinęła w stronę Czermaka i wszyscy na niego spojrzeli.

O mnie im mówi—pomyślał. Pewnie chwali, że dobrze gram; ja gram, oni tańczą po mej muzyce i bawią się wybornie! Tak, tak preceptor pozdietyński niezły jest do tego, do grania jedynie! inni obejmą cię w pół, za rączkę uścisną, w tańcu musną swoją twarzą o twoje oblicze. Dobrze, doskonale! W Pozdietynie znów będziesz spoglądała na chór, na plebanii darzyć mnie będziesz uśmiechami, jakbym cię obchodził.

Temi myślami wyrażał swój gniew na dziewczynę. Że jej też mnie nie żal, przecież czuje, jak mnie postępowanie takie martwi. Boże, co ja o niej przez całe święta namyślałem, natęskniłem, a ona tak mi się odpłaca. Nikt na całym świecie nie kocha jej tak gorąco, jak ja... Ci młodzieniaszkowie codzień zmieniają przedmiot swej miłości; gdy powrócą do Pragi, już o niej zapomną! Czyż ja winien temu, że nie mogłem kursów ukończyć? Zresztą, niech się Albinka nie cieszy, oni nie są jeszcze profesorami, ani doktorami. A choćby nawet nimi byli, przecież ja całe życie pomocnikiem nie zostanę; jabym ją na rękach nosił!... Tu znów zaczął sobie wyrzucać, że jego tylko w tem wina: nie należało myśleć o Albinie. Dokąd to wszystko prowadzi ostatecznie? Gdyby Albina i umierała z miłości, stanie między nimi stary Podzimek i powie:

— Cóż ci też do głowy przyszło, mój biedaku? Nie wiesz, kim jesteś, zapominasz o...

Obraz matki przesunął mu się przed oczyma duszy.

— Nie, mateczko, nie troszcz się, nie wyrzucam ci tego! Zawsze i wszędzie ty mi będziesz największą świętością na ziemi!...

Przyszedł pryncypał i pytał z uśmiechem:

— Nie potańczysz więc, bracie?

— Nie umiem dobrze—zaśmiał się gorzko.

— Daj pokój, umiesz, tylko nie chcesz.

— Gdybym był na twojem miejscu, puściłbym się w tany!

— E nie, panie nauczycielu.

— Tam do licha, poszedłbym; kto się boi cierniów, nie zerwie róży!

Młodzieniec nie ruszył się wcale.

Po skończonym walcu składał preceptor skrzypce, naraz usłyszał głos Albiny tuż za sobą. Obejrzał się i zobaczył, że z kantorem rozmawia.

Siedział w milczeniu, bojąc się ją spłoszyć swym oddechem nawet.

W kilka minut wracała do matki, przechodząc tuż, tuż obok niego; spojrzała nań z wyrzutem i, uśmiechając się, cierpko szepnęła:

— Pan doskonale umie się dąsać.

— Nareszcie, nareszcie przypomniała sobie o mnie. Szczęście go rozbierało, siedział jednak nieporuszony. Słyszał jej głos słodki, widział jej postać, przesuwającą się wolno. Widocznie obchodzę ją trochę, inaczej nie przeszłaby tędy. Dąsam się? I cóż mam robić? Czyż mam się cieszyć i śmiać, że się bawi i tańczy z tymi ufryzowanymi kawalerami? Może powinienem pójść na dół i tańczyć, ale to już późno. Gdybym jednak do niej podszedł i z nią tylko przetańczył, cóżby powiedzieli jej rodzice i te wszystkie baby? Babi Haudkowa wciąż się na niego i na Albinę patrzy, również ta Emka Żalakowa.

Nie poszedł; gniewał się i męczył dalej. Pan pryncypał znalazł się obok pani Podzimkowej, a preceptor zauważył, iż o nim rozmawiają. Matka z córką uśmiechały się, spoglądając nań ukradkiem.

— Panie preceptorze, jam nie uczony, jak wy, ale muszę panu powiedzieć, że się nie znasz na kobietach. Cóż ma uczynić to dziecię? Pan sam nie wiesz, czego chcesz. Czyż ma was na klęczkach po-

prosić do tańca? I wtedy pewniebyś pan nie poszedł. U was tam w głowie jakieś nieporządki; nie znacie, panie, ludzi. Proszę się nie gniewać, mówię czystą prawdę.

— Miły kolego, każdy sam się najlepiej rozumie.

— Nie rozumie, wspomnisz pan moje słowo. Drożyć się i cenić dobrze, lecz w porę. Teraz się drożycie, a inni z tego korzystają.

— Nie drożę się bynajmniej. Nie sądźcie, bym wciąż o jednem myślał. Dobrzy jesteście, zwracając na mnie uwagę. Któżtoby się trapił, ot, zapijmy wszystko i wziąwszy kufel, wychylił go duszkiem i Hejnowi podał.

— Niech się pan nie zapiera, nie oszukuje mnie. Ja się tylko spojrzę na człowieka, a wiem zaraz, co się w nim dzieje! Macie jednak szczęście! Ta Babinka ze szkoły nie może się was nachwalić, ta wdowa znów. Nie przerywaj pan, ja znam świat i ludzi! Wiem dobrze, że strzelec nie bardzo zadowolony dziś. Pan się gniewasz na tego bruneta, a on nawet nie wie, na kogo się ma złościć—śmiał się Adam.

Przed samą północą mówił pryncypał do Hejna:

— Oznajmijcie trąbką polkę wybieraną.

Adam wziął trąbkę, podniósł ją w górę i zagrał trzykrotnie pobudkę.

— Polka, wybierają damy—zawołał głośno, odkładając trąbkę.

Chaos w sali ustał nagle, rój młodzieży podążał na swoje miejsca. Panienki zalotnie spoglądały na kawalerów, danserzy uciekali do sąsiedniego pokoju, chcąc, żeby ich tam panny szukały i tem swe względy okazały wyraźniej.

Pryncypał dał znak i zabrzmiały tony „Przepióreczki", polki Ulwera.

Pomocnik siedział, jak na igłach, żar i śmierte! ne dreszcze oblewały go naprzemian.

Pierwsza para, cała rozogniona, sunęła po sali, za nią druga i trzecia...

To była Żalakowa ze strzelcem.

Oczy ich iskry rzucały, policzki pałały ogniem, cała postać zdradzała namiętne uniesienie. Dwa razy przetańczyli i znów przy sobie usiedli.

Albina szeptała coś z matką, powstała, poprawiła suknię, objęła wejrzeniem tańczących i znikła z pokoju. Za chwilę wracała w objęciu bruneta i puściła się w tany.

Pomocnikowi zmyliły się nuty — Pejszoch sam grał...

Chciał się zaraz poprawić, wtem mięki alt się odezwał:

— Panie Czermak, na mocy dawnej znajomości ośmielam się pana prosić o jednę polkę!

Obejrzał się i zczerwieniał cały. Młoda Żalakowa, szybko oddychając i mierząc go ognistym wzrokiem, czekała na odpowiedź.

Patrzył na nią, jak oczarowany.

— Nie da mi pan kosza, nieprawdaż? Te wszystkie sowy tak nam się przyglądają.

— Ja nie umiem dobrze tańczyć... — wyjąknął.

— Niech się pan nie lęka, podtrzymam pana.

Jeszcze się wahał, gdy go za rękę pochwyciła i już wirowali.

W pierwszej chwili pociemniało mu w oczach, wszystko mu się kręciło, ona go rzeczywiście musiała prowadzić.

Kiedy szalone tempo tańca zwolniło się, pomocnik się opamiętał.

Czuł falowanie jej piersi, opartej o jego pierś,

czuł uścisk mięki rozpalonej dłoni i gorący oddech na swej twarzy.

— Już mnie pan nie zna?—pytała namiętnie.

— Znam—poznałem panią zaraz.

— Ja również, jakkolwiek wyrosł pan i zmężniał...

— Będą źle o pani mówić — rzekł z pewnym wyrzutem, ale i serdecznie.

— Niech mówią, nie dbam o nikogo.

— Ślicznie dziękuję, już dosyć — prosił zmęczony.

— Dobrze, proszę mnie odprowadzić do mego miejsca.

Trzy pary jeno pozostały w kole, a i te przypatrywały się ciekawie młynarce i pomocnikowi. Wszystkich oczy na nich były zwrócone. Muzyka była bez duszy, gdyż panowie muzykanci więcej na parę tańczącą, niż na nuty patrzyli.

Czermak nie wiedział nawet, kiedy się dostał na estradę.

Muzyka się znów ożywiła, w kole jednak było pusto.

Zaledwie preceptor posadził Żalakową, zwróciła się ona ku siostrze ze słowami:

— Wstań, pójdziemy już do domu.

Strzelcowi zaś rzuciła:

— Niech nas pan wyprowadzi.

Pobiegł do pokoju, przyniósł jej okrycie i chusteczkę, one zaraz wyszły. Strzelec skoczył do twierdzy restauratora, młynarka z siostrą już były na dworze.

Muzyka zabrzmiała wesołemi tony i znów rozpoczęły się ochocze tany.

Albina jeszcze tańczyła, ale jakoś dziwnie zmieniona. Kiedy wesoło do niej zagadnięto, odpowiadała

półsłówkiem, bez uśmiechu. Z każdym przetańczyła dwa tury i szła z innym. Muzyka jeszcze długo grała, Albina jednak już odpoczywała, ocierając chusteczką pot z czoła.

Tego wszystkiego nie widział pomocnik. Serce mu zakrzepło. Grał machinalnie. W czasie przerwy położył skrzypce na pulpicie i wyszedł. Przebiegł salę, schody i znalazł się w ciemnym ogrodzie.

Przez chwilę chodził nieprzytomny, oddychając szybko, potem oparł się o pień starego drzewa i wpatrywał w przestrzeń.

Przytomność umysłu wracała mu powoli. Wspomniał Albinę, a w głowie zapanowała jedna myśl, jedno pytanie: czy się będzie gniewać? Co się stało tej czarownicy? Cały wieczór na ten moment oczekiwała... zjawiła się przed nim jako zły duch!...

Nagie gałęzie drzew cicho szumiały, na niebie iskrzyły się tysiące gwiazd jasnych, z sali dochodził gwar, chaos.

— Jesteś tu, bracie?

Preceptor, oparty głową o szorstką korę pnia, odsunął się, potarł ręką czoło i zbliżył się w kierunku głosu.

Pryncypał stał przed nim.

— Czegoś uciekł?—pytał żartobliwie.

Pomocnik miał minę skruszonego grzesznika.

— Wszystko mi się podczas tego tańca pomieszało w głowie. Co sobie o mnie pomyślą ci ludzie? Czy się pan nie gniewa? — zapytał Czermak, łzy połykając.

— Dzieciaku! czemużbym się gniewał? Oj, chłopcze, z ciebie panieneczka, nie mężczyzna — mówił serdecznie, ściskając go za rękę.

— Nie powinienem był tańczyć, prawda?

— Do dyaska, cóżeś winien, że przyszła do ciebie i napadła cię, jak grenadyer?

— Nie chciałem przecież.

— Jej tylko wina, ona raczej powinna była siedzieć w domu! Umyślnie to wszystko zrobiła, czekała jedynie na tę polkę wybieraną; całą noc nie ruszyła nogą, ze strzelcem ledwie się pokręciła, przyszła tylko dla ciebie, jakbyś był jej blizkim, szczególnym znajomym. To jakiś dziwak, taka przewrotna zalotnica, o jakich się tylko w romansach czytuje.

— Pytała się, czy ją poznaję.

— Ale dajmy temu pokój, już się to nie odstanie. Inaczej postąpić nie mogłeś. Chodź, chłopcze, chodź, tu bardzo zimno.

Przez cały powrót do sali myślał pomocnik, czy się też Albina gniewać będzie.

— Nie będzie, nie może nawet, wszak sama przez całusieńki wieczór była w kole tanecznem.

Pryncypał wziął go pod rękę, nie przerywając toku jego myśli.

Zaledwie weszli do sali, Czermak spojrzał w stronę, gdzie Albina siedziała. Nie było jej, ani matki.

Gniewa się napewno!

Wnet pojawił się Adam.

— Panienka poszła z mamą do domu—objaśniał mu, targając się podług zwyczaju za wąsy.—Dobrześ pan zrobił, tańcząc z tą czarodziejką. Przekonasz się, że to było bardzo sprytne. Ta urocza istota nie domyśla się chyba, jaką panu przysługę wyrządziła. Przyszła niby wilczyca, wpadłeś jej w oko, ale o pana spokojny jestem! Teraz panienka do rana nie zaśnie, nie zaszkodzi jej to bynajmniej—zachichotał i ruszył ku miastu.

Pejszoch zaledwie już trzymał kufel piwa, wypróżniwszy go prawie, podawał pomocnikowi.

— Pijmy, pijmy dużo, nie bądźmy niewolnikami afrykańskimi—bełkotał pijany.

Pani Haudkowa z córkami żegnały pana Czyżka; przechodząc koło pomocnika, obrzuciły go dumnem spojrzeniem i nawet mu głową nie kiwnęły.

Młodzieniec nie zauważył tego.

XI.

Kościół pozdietyński gorzał w blasku zachodzącego słońca.

Już się ono spuszczało w gorejące głębiny, lecz jego ogniste promienie wydostawały się ztamtąd, niby z krateru, i wzbijały się pod strop niebieski, miejscami zalany jakby lawą złotą.

Lasy i góry zachodnie były tem światłem otoczone, które rozpościerało się również na wzgórzach pozdietyńskich.

Kościołek biały, na wielkiej wyniosłości stojący, tonął w całej pełni blasku słonecznego i zdawał się cieszyć pięknością, czarem ostatnich promieni dziennych...

Nagie drzewa w ogrodach stały nieruchome, milczące, bezlistne gałęzie ostro się zarysowywały na tle zachodu. Na rozłożystej lipie o czarnym pniu i gęstych gałęziach rozsiadły się wróble; na wyniosłej topoli, rosnącej przed szkołą, na samym jej wierzchołku siedział szpak, główką on kręcił i gwizdał z całych sił.

Kury poważnie kroczyły po dworcu, chwilami gdacząc wesoło.

Piękny wieczór powypędzał wszystkich mieszkańców Pozdietyna z domu.

Pani kantorowa wyniosła ławeczkę na podwórze, usiadła na niej z prawej strony, obok niej mąż, a za nim pomocnik. Oparci o wybieloną ścianę szkoły, patrzyli na góry, lasy, przepysznie w tej chwili oświetlone.

— Czy też nas Wacław wspomina? — mówiła w zamyśleniu.

— Naturalnie, że wspomina... — odparł nauczyciel.

Wczoraj go wyprowadzili z proboszczem prawie do Wietrowa, żegnając się, mieli łzy w oczach.

— Pamiętaj, chłopcze, na Zielone Święta znów się zobaczymy, urządzimy wtedy pierwszą „besedę" — pocieszał go proboszcz i uścisnął mu rękę serdecznie.

Wacław kiwnął głową, mówić nie mógł, gdyż łzy go dławiły.

Oglądali się za nim, dopóki im w Wietrowie nie zniknął.

Pomocnik wciąż o tem myślał, jakiby to był rozkoszny powrót do Pozdietyna, gdyby teraz właśnie szła Albina. Nie ukazała się jednak i nikt słowa o niej nie zamienił. Dziś—w środę rano, wyczekiwał jej w ławce w kościele—nie przyszła...

— Pan preceptor zapewne z taką samą przykrością żegnał się z babcią, jak Wacław z nami, choć pan starszy przecież—mówiła pani.

Pomocnik potwierdził to z uśmiechem.

— Cóż na to poradzić! Krew nie woda, charaktery ludzkie bardzo są różne; nie jeden cały ból w sobie ukrywa, nic po nim nie poznasz, a takiemu stokroć gorzej.

— U nas tak bywało. Ja z babunią popłakaliśmy się zwykle, lecz dziadunio był twardy, jak skała. Tylko wtedy, gdy musiałe m porzucić kursy i do do mu wróciłem, wziął mnie za rękę i zapłakał...

— Bo widział, że wszystko na marne poszło — zapalając fajkę, prawił kantor.

— Tak! Największą jego radością była myśl o mej przyszłości. Tymczasem zjawiła się choroba, a z nią zagasł ostatni promyk jego szczęścia...

— Trapiła go myśl, że masz się zabrać do pracy, która go tyle namęczyła.

— Wspominając sobie dziadka, zawsze podziwiam niezłomność jego charakteru. Nie był on uczonym, ale mądrym człowiekiem, prostym, wiejskim nauczycielem z wielkiem doświadczeniem i tęgą głową. Nikomu najmniejszej krzywdy nie wyrządził, sam jednak nie zażył chwilki szczęścia. Wszyscy koledzy dostali lepsze posady, on jeden nie poruszył się z miejsca.

— Wierzę, wierzę; zbywało mu pewno na tem, co na świecie popłaca, nie miał zręcznych nóg do ukłonów, miodowych ust, gibkiego języka, umiejącego siebie wywyższyć ze szkodą innych. Świat nie pyta o rozum, ani doświadczenie—paląc fajkę, ciągnął nauczyciel.

— Jednę miał córkę, powierzył ją własnemu bratu... cieszył się nadzieją, że jej tam lepiej będzie, a właśnie...

Pomocnik zamilkł nagle.

— Mówiła mi o tem Pepiczka — wtrąciła pani, smutnie i lękliwie spoglądając się na preceptora.

— Wiecie zatem, jaką ja miałem młodość.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Cóż to jednak w porównaniu z cierpieniami mojej matki!

— Bracie, jeśli ci tak ciężko mówić o tem, to przestań. Jesteśmy ci bardzo życzliwi, lecz nie wypytujemy, nie wybadujemy — przerwał kantor i ujął go serdecznie za rękę.

— Nikomu o tem nie wspominałem nawet, wam muszę powiedzieć ze względu na samego siebie—rzekł prędko i stanowczo.

— My obie z Pepiczką domyślałyśmy się trochę, bo widzi pan, kobiety lepiej się odczuwają i rozumieją, choćby się i mało znały. Matka pańska nieszczęśliwa była w miłości. Kochała bardzo pana ojca, a on ją opuścił... — patrząc w ziemię, cicho mówiła.

— Tam, w Kostelcu, dlatego musiała naraz uchodzić z plebanii. Matka była skryta, nigdy podobno o tem nie mówiła.

— Znałem takie kobiety — wmieszał się kantor.

— Była ona, jak dziadunio, dobra, serdeczna, ale skryta. Jako jedynaczce, dał jej dziadek najlepsze wychowanie. Śpiewała podobno prześlicznie, grała na skrzypcach i na fortepianie. Pielęgnowali ją niby kwiatek cieplarniany. Co się w starej szkole działo, gdy wróciła z Kostelca! Odchodziła wesoła, szczęśliwa, przyszła złamana!

— Czy długo tam była?—zagadnął kantor.

— Trzy lata przeszło. Wróciwszy, nogi i ręce rodzicom całowała, najsłodszemi słowy prosiła, aby jej przynajmniej nie wypędzili. Cierpieli oni strasznie, ale jej nie dokuczali. Dziadunio pisał potajemnie do brata, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Matka również pisała i dostała list... Babunia mówiła, że w tym dniu umarła matka dla świata... Przez rok w domu pozostała, potem dla ulżenia rodzicom, dla zarobienia dla mnie, udała się do Pragi. Nie chcieli jej puścić, postawiła jednak na swojem. Droga, złota dusza, wszystko to z myślą o mnie jedynie czyniła. Choć młoda, była rozważną i pamiętała o przyszłości.

Pomocnik mówił wolno, wreszcie umilkł na dłużej.

— Smutne to są wspomnienia... — mruknął kantor.

— W Pradze dostała się do bogatej rodziny do dzieci; lubili ją niezmiernie. Mama pisywała często, kilka razy odwiedzała rodziców, mnie podobno całowała z płaczem, ale ja tego nie pamiętam.

Kiedy miałem trzy lata, przyszła nagle wiadomość, że matka ciężko zaniemogła. Dziadek, zobaczywszy list nie ręką matki pisany, pojechał zaraz. Niestety, przybył zapóźno, na pogrzeb tylko trafił... Umarła w szpitalu na zapalenie płuc. Leży na Olszanach, na drugim cmentarzu. Dziadunio pomagał w spuszczaniu jej do grobu...

Pan kantor prawie już nie palił fajki, wpatrywał się w jeden punkt uparcie.

Przymknął oczy i wtedy łza mu się po policzku stoczyła.

Pani kantorowa oczy ocierała.

— Wszystkie rzeczy matki przywiózł do domu. Znaleźli między niemi jeden list. Spalili go natychmiast, aby mi się do rąk nie dostał. Był to zapewne ten z Kostelca do Lan przysłany, podpisane było: Karol. List ten miał być krótki, ale straszny; babunia mówi, że Bóg tego człowieka ukarze za jego słowa bezlitośne.

Czermak umilkł. Oddychał szybko, twarz i oczy płonęły mu ogniem.

— Rzekłeś, bracie, że matkę chowano, jak cieplarniany kwiatek. Naturalnie, taka roślina nie oprze się zawieruchom i burzom życia.

— I dziadunio tak mówił, sobie największą winę przypisując.

— Miała czyste, niewinne serce, kochała z całej duszy, wszystkiemu wierzyła—dodała kantorowa.

— Wszystko straciła, zostałem jej ja i te dwie siwe głowy—ciągnął dalej przerwane opowiadanie.

— A cóż w Kostelcu?—zapytał pryncypał.

— Po wyjeździe matki do Pragi udał się sam dziadek. Czego się dowiedział, nie wiem, gdyż nigdy o tem mowy nie było. Po śmierci dziadunia trochę mi babcia opowiedziała. Stryj wymawiał pono bratu, że źle córkę wychował, że o mało nie zrobiła mu skandalu. Cała ta sprawa pozostała w głębokiej tajemnicy. Umyślnie tak zrobiono na plebanii, gdyż on był synem dyrektora, pomocnik nadleśniczego. Po zniknięciu mej matki wyjechał na Węgry. Dziadunio nie poszedł do Kostelca, aby tam dochodzić krzywdy matczynej i wyżebrać coś dla niej, nie, zresztą scharakteryzowałem ich należycie.

— Poczciwa duma!—szepnął kantor, ale chciał się czegoś bliższego o tem nieszczęściu dowiedzieć.

— Odtąd w domu dziadka, mimo całej ich miłości, uczuwałem jakiś ciężar gniotący, wieczny smutek. Znacie państwo ludzi, więc jeśli rodzony brat tak osądził, czegoż od obcych można się było spodziewać?

— Ludzie są ludźmi, do tajników serca nie patrzą, sądzą z pozorów i potępiają surowo.

— Nieraz dziadunio spotykał się z wyrzutami, przycinkami, złośliwemi uśmiechami, unikał też ludzi, stał się bardziej skrytym, zamkniętym w sobie. Żem i ja zażył dużo goryczy, domyśleć cię łatwo. W domu i szkole wyśmiewano się ze mnie, że ojca nie mam. Dlatego i ja byłem skryty, bałem się ludzi, nie wierzyłem ich szczerości.

— Czy się dziadek z bratem więcej już nie widział?—zapytał nauczyciel.

— Kiedy zaniemógł, pisał do niego, prosząc, żeby się mną zaopiekował, nie odpowiedział wcale. I mój list pozostał bez odpisu. Wkrótce dowiedzieliśmy się o jego śmierci. Dziadek nie pojechał na pogrzeb i żadnej już wieści nie było. Co tylko zostało

po nim, zagrabili obcy. Mawiał zwykle dziadunio, że wprost nie rozumie, jakim sposobem dwaj bracia, kochający się w młodości, rozchodzą się w świat, jako obojętni, jakby ich nie łączyło wspólne dzieciństwo, jedna krew.

— Życie tak rozłącza! Rodzeni bracia nie mogą przewidzieć, co życie im przyniesie, jak ich roztrąci, jak fale życiowe porwą i zniszczą ten kwiat dziecinnego przywiązania. Smutnie to wyrzec, ale gdzie tylko liczniejsza rodzina, wszędzie to samo się dzieje—dodał kantor.

Wszyscy zamilkli.

— Przez te trzy lata choroby namartwił się o mnie dziadek porządnie. Wiedział, że w naszej szkole nic mnie dobrego nie czeka, radził też szukać gdzieindziej pracy. Tegoż samego zdania był kantor Dubrawsky, któremu pomagałem często na chórze. Jest to zdolny muzykant, sam wiele kościelnych kompozycyj układa, mnie też dosyć nauczył. Jeszcze za życia dziadka przyszło dwóch kantorów oglądać szkołę. Dano mi poznać, że nie powinienem cieszyć się nadzieją nawet.

A teraz nie dziwicie mi się chyba, że jestem takim dziwakiem.

— Nie dziwię się—odparł pryncypał.

— A ja się dziwię, żywo powiedziała kantorowa—czyż pan winien czemukolwiek?

— Kantor jest marnem stworzeniem, wszystko musi znosić, nic mu się nie przebacza, każdy go może zwymyślać, wiemy o tem doskonale! Gdybym był kursy skończył, panem został, niktby i słówkiem mnie nie zadrasnął. Wielkiemu panu przebaczonoby i najgorszą matkę, małemu, biednemu człekowi i na matkę anioła rzucą obelgę. Nie chcę być upokorzonym, nie chcę słyszeć i widzieć drwiących uśmiechów, nie

dlatego, by to raniło moją osobę, lecz żeby to nie spadało na imię matki. Ja tylko rozumiem, co ona przecierpiała, jak dobrą była!

Pryncypał przestał palić. Rozmyślał nad tem, że jego pomocnik, w niektórych wypadkach ogromnie dziecinny, w innych doświadczonym jest człowiekiem, znającym już życie.

— Masz racyę, przyjacielu. Prawdą jest, że tym, którzyby ci chcieli dokuczyć, pochodzenie twe wygodnym jest konikiem. Nauczycielstwo ma być podniosłem zajęciem, w kantorze chce się widzieć wszystkie możliwe cnoty, on stoi na piedestale. Powinien przewodzić nie pojedynczym już jednostkom, lecz całemu ludowi. Czyż kto jednak widział, aby z bogatych, wybitnych rodów wychodzili nauczyciele? Szlachetne zajęcie, a jednoczesnie upośledzone.

— Przestań, mój drogi, nie dodawaj smutku — strofowała żona.

— Wszystko to święta prawda! Powtarzam, nie dziwię ci się, bracie, ale inczejbym postępował. Śmiało szedłbym między ludzi, a ktoby mnie zranił, odpłaciłbym mu bez zwłoki.

— Każdy, mój miły, inne ma usposobienie. Nam może pan zupełnie zaufać, jak również mieszkańcom plebanii; myśmy już omawiali pańskie sprawy i panna Pepiczka dowodziła, że tem więcej zasługuje pan na życzliwość.

— Proboszcz nic nie wspominał o mojej matce?

— Nie, jakkolwiek domyślił się wszystkiego, skoro się tylko dowiedział, że pan z Lan pochodzi. Zaręczam panu, iż to, o czem wiedzą w szkole i na plebanii, pod dwiema temi strzechami zostanie.

Zachodzące słońce przygasło, mrok zwolna zapadał.

Lasy i góry pokrywały już cienie, spiczaste wierzchołki drzew ginęły w ciemnych obłokach.

Dziadek Zit, idąc dzwonić na „Anioł Pański," od wrót cmentarnych już wołał:

— Dobry wieczór!

Wszyscy milczeli.

Pomocnik czuł pewną ulgę po wypowiedzeniu historyi swego życia, którą nieraz chciał wyjawić, lecz brakowało mu dotąd odwagi; teraz przynajmniej poznali go dobrze.

— Zit dzwoni, to muszę napoić krowy — rzekł nauczyciel.

Położył fajkę i poszedł do obory.

— Panie preceptorze, czy mogę powtórzyć Pepiczce to, com od was usłyszała? Nie zaszkodzi to panu, proszę mi wierzyć — serdecznie zapytała kantorowa.

— Jak pani uważa.

— Ona panu dobrze życzy. Pepiczka odczuwa ludzi. Kochała kiedyś gorąco, narzeczony jej umarł. Przypominacie jej ukochanego. Podoba się tam pańska pamięć i uczucie dla matki.

Głos dzwonka rozbrzmiał po dolinie, echo rozniosło go po lasach i górach.

Pan kantor, wyszedłszy z obory, uklęknął i modlił się.

Pomocnik powstał i przeżegnał się.

— Proszę, niech się pan nie martwi! — z temi słowy wyszła kantorowa do kuchni.

Czermak poczuł w swej duszy błogi, dawno nieznany spokój.

Ręce miał złożone, ale się wcale nie modlił. Słowa Czyżkowej brzmiały mu w uszach, napełniały serce jakąś nadzieją.

Albinka nie przyszła do kościoła w czwartek nawet.

Pomocnik męczył się nad wymyślaniem przeróżnych powodów długiej jej nieobecności; nie wspo-

mniał o swoich domysłach kantorowej, choć był pewnym, że ona wie, kiedy Albina powróci.

W piątek również ławka była pusta, zato w ławce pod samym chórem dostrzegł młodą Żalakową. Z rękoma złożonemi klęczała, patrząc się wciąż w ołtarz. Widział on z chóru jej śniadą twarz, czarne rzęsy i brwi, otaczające wielkie oczy; widział piękne kształty jej figury, uwydatniające się i pod sukiennym płaszczem.

Przy wspomnieniu zabawy w Wietrowie, w chwili, w której go ona pochwyciła za rękę i ku sobie przyciągnęła, zatrząsł się cały.

— Czy się modli? za kogo? Może za swego nieboszczyka męża? Przecież przypomniała sobie tego biedaka, co tak serdecznie ją kochał, nikogo po za nią nie widział, żył tylko dla niej.

Od tych myśli przeszedł do Albiny, do swej miłości.

Gdyby ona odczuła, wiedziała, jak on ją kocha, ile się przemęczy, jak całem jego jestestwem miłość ta zawładnęła.

Kiedy wracał do domu, ujrzał Żalakową nad grobem męża.

Mogiła zapadła się nieco, rozrzucone kawałki gliny uschły zupełnie.

Szedł prędko, obejrzał się jednak, czy wdowa na niego nie patrzy, czy nie potrzebuje się kłaniać.

Nie odwróciła się bynajmniej.

— Czy też Żalak czuje tam w grobie, iż najdroższa mu istota na świecie stoi nad mogiłą i łzy wylewa?—myślał preceptor.—Jakież to byłoby szczęście leżeć w tej cichej ziemi, nic nie cierpieć, jeno czuć, że umiłowana osoba przychodzi na grób, płacze, pamięta, kocha...

Tego dnia po południu, wkrótce po skończeniu lekcyj, wybiegł pomocnik przez góry do lasu.

Łąki pod wzgórzami były jeszcze szare, zieleniejące źdźbła trawy niknęły zupełnie, kilka maleńkich pierwiosnków trzymało główki na samą ziemią, spoglądając smutnie, lękliwie.

Wnętrze starego iglastego lasu pogrążone było w zupełnym cieniu. Pyszne gałęzie olbrzymich świerków i jodeł lekko się chwiały; miejscami jasne promienie słońca, kładąc się na ziemię, tworzyły białe ścieżyny. Gdzieniegdzie w wilgotnym mchu, albo w kałuży na drodze wozowej przeglądało się słonko, niby w zwierciadle. Nad skrajem igrały jasno-fioletowe promienie słoneczne. W szczelinach całkiem było ciemno. Naraz ukazała się żółta plama na łące, jakby na niej rozkwitły drobne gęsie łapki, wzrok bezwiednie szukał źródła tych promieni, lecz znaleźć go nie mógł. Z tej tajemniczej głębi dochodził głos zięby, lub stuk dzięcioła, łażącego po drzewach.

Pomocnik błądził z przyjemnością po tym obszarze leśnym. Pod temi koronami z gałęzi, wśród cieniów i niezamąconej ciszy było mu dobrze, spokojnie. Pomyślał znów, czy Albina wróciła, czy nie rozbrzmiewa dźwięczny jej śpiew. Czy pamięta o nim?

Kiedykolwiek przywodził sobie na pamięć bal wietrowski, niesmaku i bólu doznawał. Widział Albinę w objęciach obcych mężczyzn, gniewał się na nią za męki, jakie tam przeniósł. Czemu tańczyła? On chęci nawet do tego nie uczuwał, jemu wystarczałaby niema rozmowa, szepnięcie słówka cieplejszego. Co jej po innych, jak może przytulać się do obcych, kiedy przy nim tak blizko nie była?

Mógł i on wprawdzie, gdyby posłuchał Adama i kantora, tańczyć z nią, mieć ją w swych ramionach. Nie, nie, toby mu nie sprawiło przyjemności, tak być z nią sam na sam. Zresztą i ona tego nie pragnęła, boć mogła poprosić go do polki. Jeśli to Żalakowa uczyniła, czemuż Albina nie przyszła? Jeśli go lubi,

czemu wybrała tego bruneta? Może umyślnie to zrobiła dla matki, dla ludzi? Ależ nie, kto kocha, na nic i nikogo nie zważa, śmiało swe uczucia wyjawia! Tak, lecz i on do niej nie podszedł, wybrała więc tych, którzy z nią tańczyli. Czyliż jednak nie jest jej bliższym, nic ją nie obchodzi? Widocznie nie obchodzi! To głupie serce spokoju mu nie daje.

Znów układał sobie rozmowę, jaką poprowadzi przy spotkaniu Albiny. Czyż się spotka, czy Albina nie będzie obrażoną? Raczej lepiejby było, gdyby jej nie zobaczył wcale. Tyle dni nie widział, to może się już przezwyciężyć, a gdy powróci, to i spokój stracony.

Wracając około cmentarza, spostrzegł grabarza Zita i zbliżył się ku niemu.

Zit zgarbiony, z fajeczką w ustach, rydlem wykopywał rowy między grobami, by woda mogła przeciekać.

Teraz cmentarz wyglądał smutniej, niż w zimie pod śniegiem. Groby zniszczone, darń pożółkła, suche badyle zeszłorocznych kwiatów sterczały ponuro.

— Dobry wieczór!—pozdrowił pomocnik.

Grabarz zdjął czapkę, wyjął z ust fajkę i mruknął:

— Witam pana, ot, mam i pomocnika.

— Czy już groby naprawiacie?

— Nie, tylko ściek dla wody robię; na inne roboty zbyt wcześnie. Przyjdą jeszcze zimna, to wszystkoby przymarzło.

— Na wiosnę macie pewnie dużo pracy?

— Niewiele; każdy sam porządkuje swój grób, nie mam ja wielkiego zarobku. Inne to już czasy, teraz i na grobach oszczędzają—mruczał grabarz gniewliwie.

— Przez jeden rok tyle?—pytał Czermak, wskazując na rzędy świeżych mogił.

— Przez rok... przez dwa — odpowiedział krótko i schował fajkę do kieszeni płaszcza.

— I tak dużo.

Grabarz, o rydel oparty, podniósł w górę ramiona i zaczął:

— Panie, cmentarza nie zamykają, ludzie mogą posyłać prośby i skargi, ale ta najwyższa instancya nic pisanego nie przyjmuje, na nic nie zważa! — zaśmiał się sucho.

— Kto leży w tych dwóch grobach?

— W tych? Krzamtak i Szpidlen, wieśniacy. Obaj umarli w jesieni, jeden za drugim. Przez całe życie sądzili się tylko z sobą, wyrok za wyrokiem zapadał! Przed pogrzebem powiedziałem temu młodemu Szpidlenowi: Widzę, że najlepszym wyrokiem będzie moja łopata. Teraz niech się prawują o ziemię. O, panie, śmierć, to prawnik doskonały! Nie spisuje aktów, nie bierze łapówek, jeden ma stempel dla wszystkich!

Czermak przystąpił do grabarza i czytał napisy pomników, opartych o ścianę.

— W tym zawalonym grobie spoczywa niejaki Jan Kobera. Miał on w Starej Wsi największy majątek, ale żadnego dziecka. Pierwsza żona umarła, ożenił się z młodszą, a ta go, panie, tak z przyjaciołmi swemi wyszykowała, że poszedł na żebry. Nie chciała mu nawet pogrzebu wyprawić. Przyszli jego znajomi z okolicy i ci się wszystkiem zajęli. Przybyła też siostrzenica nieboszczyka, zaczęła tak lamentować, wyrzekać na stryja, że o nich najbliższych nie pamiętał, iż ksiądz ją musiał napominać, w domu zaś, gdzie podniosła gwałt o spadek, starosta uspakajał. Ot, różnie się, panie, na tym świecie dzieje!—patrząc na kostnicę, mówił dalej:—Tam, panie, tyle kości, co kamieni, niktby jednak nie wziął żadnej do ręki, choć nieraz to kości najdroższych, za których i życieby się

oddało. Krótka jest pamięć ludzka. Ciekawy jestem, czy młoda młynarka prędko zapomni. Znalazła takie ciepłe gniazdko, o jakiem i marzyć nie mogła. Na pogrzebie nie szczędziła, to trzeba przyznać. Mówił mi wczoraj stary, że już pomnik chce stawiać, naturalnie, woli co prędzej pozbyć się kłopotu. Napewno nie pozostanie długo wdową; ho, ho, jak ona teraz oczkami strzela!

— Nadsłuchiwałam, kto tak rozprawia, a to dziaduś z panem pomocnikiem! Dobry wieczór!

Preceptor oniemiał z radości; przy kościele stała Albina.

— Ale, ale, iluż to mam dziś pomocników! Toż ja sobie zaraz pomyślałem, że pan nie przyszedł nadaremno—zaśmiał się chytrze stary grabarz.

— Do was przyszedłem, wszak Albinki w domu nie było—bronił się pomocnik.

— Po południu przyjechałam, ojciec mnie przywiózł, no, już się dosyć w domu nasiedziałam—szczebiotała.

Pomocnik przybliżył się do niej nieco, ale jeszcze rozdzielało ich parę kroków.

Stał zamyślony i uśmiechał się tylko, a miał ochotę krzyczeć z radości. Znów ją widział taką, jaką była przed owym balem w Wietrowie.

Włosy miała gładko zaczesane, starą sukienkę w paski i skórzane trzewiki.

— Pan milczy? Czyż to panu było obojętne?

— Co?

— Że tak długo nie wracałam.

— Tak, jak pani—sucho odpowiedział.

Albina spuściła oczy i zamilkła.

— Pani wtedy tak nagle wyszła, że nie mogłem się nawet pożegnać.

— Wiesz pan chyba dlaczego—odparła cierpko z boleścią i wpatrzyła się w dolinę, słabo oświetloną, na którą od wysokich drzew padały podłużne cienie.

— Zkąd mam wiedzieć?

— Tem gorzej! Mniemałem, żeś mi pan to zrobił na złość, naprzekór, a teraz się przekonywam, że pan nawet nie pomyślał o mnie! — Spojrzała nań i znów wzrok ku ziemi spuściła.

Pomocnikowi drżały nogi, serce mu biło przyśpieszonem tętnem, w głowie szumiało.

— A czyż pani wspomniała o mnie? — wyrzucił z trudem te słowa.

— Pan nie wie, po co tam przyszłam?

— Na mnie już czas; jak widzę, pan pomocnik jeszcze nie pójdzie — mruknął grabarz, zmarszczył czoło i spojrzał z uśmiechem na młodą parę. Czapkę nacisnął na głowę, rydel przerzucił na plecy i zgarbiony wyszedł z cmentarza.

— Nie będziecie dzwonić?—zawołał Czermak.

— Dziś mnie żona zastąpi.

Na zachodzie zniknęły już jaśniejsze tony, mrok zalegał dolinę, lasy przedstawiały szarą masę.

Preceptor zbliżył się do Albiny.

— Jeszcze nie otrzymałem od pana odpowiedzi.—Spojrzała nań głęboko.

— Dlaczego tam pani chodziła? Dla zabawy, wszak mi pani mówiła, że lubi tańczyć.

— O bardzo, bardzo lubię, ale i inny był powód...

— Ten brunet—rzekł z bólem.

Śmiejąc się serdecznie, odbiegła od niego.

— Ależ to był Neczasek, mój blizki krewny. Byliście razem w szkołach, przypomina sobie pana.

— A jednak nie zbliżył się do mnie.

— Czyż warto sobie z tego coś robić. Więc ja dla niego przyszłam na bal?

I znów wybuchnęła śmiechem.

— A zatem dla kogo?

— Dla kogo? dla pana pomocnika z Pozdietyna, który zato cały wieczór nie spojrzał nawet—skarżyła się żałośnie.

Pomocnik ledwie zapanował nad sobą, aby jej nie porwać w objęcia, do serca nie przycisnąć.

— Nie wierzy pan? — pytała żałośliwie, spoglądając na niego ukradkiem.

— Dlatego śmiałaś się pani i bawiła doskonale.

— Czyż miałam pierwsza do pana podejść? — odpowiedziała tym samym cierpkim tonem.

Pomocnik patrzył w ziemię. Czuł, że się już kończy smutne preludyum, po którem pieśń nastąpi; czuł, że musi ona zabrzmieć dziś dla spokoju jego serca...

— Czas na mnie wracać do domu, i ciotka się pewnie niepokoi—i, jakby go nie było, szła wolno ku plebanii.

Czermak postępował za nią w milczeniu, tracąc chwilami świadomość obecnej chwili.

— Albinko!—zaczął gorąco.

Zatrzymała się, wpatrując się weń badawczo.

— Chciałbym ci coś powiedzieć, ale... może się gniewasz?...

— Czemuż miałabym się gniewać.

— Więc nie będziesz się gniewała?

— Gdy to nie jest coś złego, to nie.

— Albinko, ty nawet pojąć nie jesteś zdolną, jak ja cię... kocham!

Drżał z obawy, czy mu śmiechem nie odpowie. Milczała jednak. Ręce opuściła i stała z głową pochyloną ku ziemi.

Lasy ginęły w cieniach, wszystko wokoło pogrążało się w mroku.

— Gniewasz się?—zapytał gorączkowo.

Spojrzała na niego jasnemi, głębokiemi oczyma i zaprzeczyła ruchem głowy.

— Czy wiesz, że gdziekolwiek się obrócę, ciebie widzę... we śnie i na jawie... o tobie jedynie myślę... z tobą w duszy prowadzę długie rozmowy, skarżę się przed tobą z moich bolesnych przypuszczeń, że pragnienia moje bezowocne będą... męczę się...

— Chodźmy ztąd, Zitowa będzie dzwonić—szepnęła i wziąwszy go za rękę, ku plebanii prowadziła.

Czermak uścisnął nerwowo jej rękę i do ust podniósł.

— Cóż ty na to, Albinko?

— I co mam mówić?

— Powiedz, czy też mnie kochasz?

— Chyba wiesz to pan oddawna.

— Ale powiedz teraz, proszę cię!

— Kocham... kocham!

— Czy tak, jak ja ciebie?

— O tego, to już nie wiem... ale...

— Ale?

— Bardzo kocham!...

Już ją trzymał w objęciu; lewą ręką ujął tę piękną złotowłosą główkę i na jej ustach złożył pierwszy pocałunek...

Silny głos dzwonka rozbrzmiał po całej dolinie.

— Nie umiem ci nawet wypowiedzieć, co czuję obecnie — mówił, gdy stali znów obok siebie i trzymali się za ręce—wydaje się mi to wszystko rzeczą niemożebną, snem uroczym...

Z pokoju, z plebanii, przez otwarte okno dolatywał prosty, miły, przejmujący śpiew.

— Słuchaj, ciotunia śpiewa, to jest ulubiona jej piosenka—szeptała Albina.

Zbliżyli się ku sobie.

Niedaleko Pragi leży mogiła,
Dwoje kochanków śmierć w niej połączyła,
Życie im szczęścia nie dało...

Krzykliwe tony starego klawikordu towarzyszyły znanej baladzie Hniewkowskiego[1]), śpiewanej serdecz-

[1]) Hniewkowski, poeta 1800—1847, autor dzieła „O poezyi i prozodyi czeskiej“ wyd. 1820 r.

nie, ale starym już głosem, i płynęły, jakby pozdrowienie z dalekich stron, przysłane o zmroku cmentarzowi wiejskiemu...

— Ciotka moja kochała niejakiego Haska. Był on biednym mieszczaninem z Branny, ale bardzo rozumnym. Musiał on porzucić studya i zahaczył się przy zamku w Skale. Ojciec ciotki był zamożnym gospodarzem, więc nie chciał się na to małżeństwo zgodzić, ona wtedy wiele, wiele przecierpiała.

Oboje piękni, jak wiosenny kwiat,
Kochali się szczerze od młodych lat...

Ogromnie lubił tę piosenkę, śpiewał ją zawsze ciotuni, ilekroć się tylko widzieli, muszę dodać, że był on doskonałym muzykantem. Przepisał ją cioci na pamiątkę, nosi ją w książce od nabożeństwa. Nie chciała nawet słyszeć o innym, cieszyli się nadzieją, że przecież kiedyś dostanie lepsze utrzymanie, że będą się mogli pobrać.

Jednego zimowego wieczoru siedzieli wszyscy w izbie; ciotka według zwyczaju przędła, inni wesoło rozmawiali. Naraz usłyszeli kołatanie do drzwi; ojciec poszedł otworzyć, wszyscy nadsłuchiwali ciekawie:

— Bądźcie tak dobrzy i przechowajcie mi to w stodole, jutro to zabiorę, dziś nie mogę — mówił ktoś za oknem.

— Cóż przenosicie?—pytał się mój ojciec.

— Karola przenoszę, Karola naszego—krzyknął nieznajomy i płacz się rozległ żałosny.

Ciotunia odbiegła od kołowrotka i stanęła pod drzwiami.

— Cóż się stało?—pyta znów ojciec.

— Umarł nieoborak, już pochowany.

Na te słowa ciotka padła zemdlona... — szeptała Albinka.

Przysięgnij mi dziewczyno,
Czy ty mnie kochasz jednego?

— Był to ojciec Karola. Syn im się rozchorował, nie wiedzieli nawet o tem; po trzech dniach choroby umarł; oni na pogrzeb ledwie zdążyli. Wtedy właśnie wracał jego ojciec z pogrzebu i wiózł rzeczy, jakie się po nim zostały. Ciotka długo potem chorowała; kupiła sobie na pamiątkę fortepian Karola — mówiła dalej Albina, trzymając młodzieńca pod rękę.

— Albinko, powiedz, czy mnie będziesz zawsze kochać?—pytał, znów ją przytulając do serca.

Pocałunkiem mu odpowiedziała.

— Słuchaj, słuchaj! — szepnęła.

Gdybym ja ci się przeniewierzyła,
Niech mnie Bóg srogo ukarze...

Jeszcze kilka akordów i piosnka umilkła.

Albina i pomocnik drgnęli, usłyszeli bowiem lekkie stąpanie. Pół - otwarte okno zamknęło się, drzwi zaskrzypiały i za chwilę słychać było przekręcenie klucza w zamku.

— Muszę już wracać do domu, dobranoc!

— Dobranoc, Albinko, najdroższa moja!

Słowa przerywały gorące pocałunki.

Albinka na palcach weszła do pokoju, preceptor pobiegł do domu.

Biegł szybko, ale chętniej uniósłby się teraz w wyżyny nad te lasy i góry i dotarł do tych gwiazdek świetlanych...

KONIEC TOMU DRUGIEGO

OD REDAKCYI.

Ks. A. Sz. List przesłaliśmy doktorowi Dolińskiemu. Za słowa uznania uprzejmie dziękujemy.

Pani E. W. Co do przekładu „Bajki dla dorosłych dzieci," prosimy porozumieć się z panem J. Gadomskim, Redaktorem Gaz. Pol.

P. S. M. Do Wisły jedzie się przez Granicę, Trzebinię, Oświęcim i Ustroń, zkąd godzina drogi końmi. Razem, pośpiesznym pociągiem z Warszawy 12 godzin. Jest hotel murowany. Rzeźnik i piekarz na miejscu. Ludność wyłącznie polska. Istnieje książka o Wiśle i Wiślanach ś. p. Bogumiła Hoffa, wydana przez księgarnię Arcta w Warszawie.

P. H. L. Czasopismo poświęcone fotografii wydawał pan J. Boguski p. t. „Światło." Obecnie zawieszone. Poinformuje zakład fotograficzny p. Golcz (ulica Erywańska 3, w Warszawie). Za uznanie dziękujemy.

Prenumeratorowi. Co do wydania innych dzieł Korzeniowskiego, nic obiecywać nie możemy, gdyż istnieją trudności ze strony sukcesorów.

Panu Z. F. Tanie aparaty fotograficzne znaleźć można w składzie Lebiedzińskiego, w cenie od 2 rubli. Dobry jednakże aparat kosztować musi kilkadziesiąt rubli. Cena zależy głównie od wartości obiektywu, który stanowi o wrażliwości przy-

rządu i dokładności odbitek. W Warszawie wyrabiają już obecnie doskonałe obiektywy (fabryka „Phos“), ale cena ich jest wysoką. Nie możemy polecać jednego systemu, gdyż zależy to od celu, jaki sobie amator zamierza. Do portretów z większą głową tanie aparaty nie nadają się. Mały kieszonkowy przyrząd do małych zdjęć amatorskich, kosztuje dwadzieścia parę rubli. Wogóle tanie przyrządy *momentalne* działają dobrze tylko w zupełnem słońcu. Najlepiej poradzić się w składzie, określając warunki wymagane.

Pani S. J. Uroczystość Sienkiewiczowska odbędzie się w grudniu. Dzień nie jest jeszcze oznaczony. Fantazyę Sienkiewicza „Na Olimpie“ znaleźć można w książce zbiorowej, wydanej przez Kasę Literacką p. t. Sami Sobie. Kosztuje rb. 1 k. 50. „Quo Vadis“ Barreta nie będzie grane na scenie warszawskiej.— Dawniejsze prace wyszły obecnie nakładem księgarni Dembego.

P. K. K. Skorowidz prac wydanych w „Bibliotece“ drukujemy co pewien czas w tomach. Łatwo więc odszukać pod odnośnym numerem. Tylko tomy „Literatury“ P. Chmielowskiego nie mają numerów.

P. H. R. Druk powieści konkursowych rozpoczniemy za parę miesięcy. Przyznanie nagród nie będzie zależało od redakcyi. Ta ostatnia zaleca tylko niektóre prace *jako możliwe do druku;* czy zaś która z nich wogóle zasłuży na nagrodę i jaką: pierwszą, drugą czy trzecią, o tem zdecydują czytelnicy głosowaniem. Rękopisy nie zakwalifikowane do druku będzie można odebrać w końcu grudnia.

Pani St. Zic. Inną powieść Rodziewiczówny zamieścimy wkrótce.

P. Maryi R. Powieści pod pseudonimem Maryi z Cisowa nie otrzymaliśmy wcale. Jeśli była wysłana pocztą za rewersem, to należy reklamować na stacyi. Rękopisy wogóle najlepiej wysyłać pod opaską rekomendowaną. Wysyłane jako pakiet z za granicy przechodzą przez komorę i odbierane bywają dopiero z Cenzury, co wiele czasu zabiera.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze,** opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa.*

5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego,** w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy.*

8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka,** obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby,** powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka,** powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry,** powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*

18. Juliusz Słowacki. **Poemata,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego.*

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek,** powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta.*

*24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

Tom.

*26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki, z przedmową** *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu,** z przedmową *Ignacego Matuszewskiego,* z ilustr.

*31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach,** powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki,** tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andrée'go balonem do bieguna,** w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

*35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historya prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasa,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego,** w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego,* z ilustr.

40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*47. Juliusz Słowacki. **Beniowski,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*50. Adam Krechowiecki. **Stella.—Tarłówna,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

51. G. Krahmer. **Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej,** w tłomacz. i z przedmową *Włodz. Trąmpczyńskiego.*

***52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego,** z przedmową *Władysława Smoleńskiego,* z mapą dawnej Polski.

55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie. — W puszczy,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio,** z przedmową *Adama Pługa.*

63, 64, 65. L. Gallet. **Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac,** przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilust.

Tom.

66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna,** w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąmpczyńskiego.*

*68. Konstanty Rengarten. **Pieszo do Chin,** w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach,** w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*70. Michał Bałucki. **Przeklęte pieniądze,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*73. 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

75. 76. 77. 78. 79. 80. Cervantes. **Don Kiszot,** w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami G. Dorégo.

81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie,** z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami.

84. Stanisław Grudziński. **Połpanek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babylonu.** Powieść

87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska** Studyum krytyczno-literackie.

88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi,** z przedmową *Wiktora Gomulickiego.*

89, 91. **Pamiętniki Szymona Konopackiego,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

90. Maciej Wierzbiński. **Nowelle,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

I. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej.** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami,

92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a,** w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego.*

95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona,** w przekładzie Topora.

98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne,** z przedmową.

101. Roman Zawiliński. **Słowacy ich życie i literatura,** z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami.

102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

II. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

Tom.

103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

104. Sewer. **Wśród pokus,** powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami i mapką.

106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci.** Powieść z czasów kampanii węgierskiej.

109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu,** z ilustracyami.

110. Władysław St. Reymont. **Sprawiedliwie!** powieść z przedmową *Teodora Jeske Choińskiego.*

111. **Pamiętnik Generała Wysockiego,** z ilustracyami.

112. Jan de la Brête. **Mój Wuj i mój Proboszcz,** powieść z przedmową *Juliana Mohorta.*

III. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

113, 114. Edward Foà. **Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustr

Rok 1900.

115. Wiktor Hugo. **Rzeczy Widziane,** (1848 — 49) w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

116. Henryk Szuman. **Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie** (1848), z przedmową *Aleksandra Kraushara.*

117, 118, 119, 120. Teodor Jeske-Choiński. **Tyara i Korona,** powieść historyczna.

121, 122. Dr. Lassar-Cohn. **Chemia Życia Codziennego,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

123, 124, 125. Hr. L. N. Tołstoj **Zmartwychwstanie,** powieść, z przedmową *J. A. Święcickiego.*

IV. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

126. John Ruskin. **Gałązka dzikiej oliwy,** w przekładzie W. Szukiewicza, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

127. Włodzimierz Zagórski. **Humoreski.**

128, 129. Walerya Marrené-Morzkowska. **Błędne koła,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

130, 131. Szymon Konopacki. **Moja druga młodość,** trzeci i czwarty tom pamiętników.

132. Ewweli-Bej. **Suryawansa.** Powieść na tle życia Ormian tureckich.

133, 134. Dr Józef Siemiradzki. **Szlakiem wychodźców,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* (z ilustracyami).

135. A. Komorowski. **Wspomnienia Podchorążego,** (z ilustracyami).

136. Marcin Kukuczyn (Maciej Bencur). **Obrazki i Nowelle** z przedmową *Wawrzyńca Szrobara.*

Tom.

137. Józef Korzeniowski. **Kollokacya**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

138. Karolina Świetlа. **Z naszych Walk i bojów—Oczarowana**, w przekładzie Maryi Czesławy, z przedmową *Bronisława Grabowskiego.*

139. Eliza Orzeszkowa. **Przy dochodzeniu śledczem.**

140. Edward Strumpf. **Obrazy Kaukazu**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.

141. Wanda Grot-Bęczkowska. **Marzycielka**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

142. Juliusz Słowacki. **Poezye liryczne i gnomiczne**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

143. Edmund Plauchut. **Chiny i Chińczycy**, w przekładzie H. Michałowskiego, z ilustracyami.

144, 145. Mikołaj Jósika. **Ostatni Batory**, z węgierskiego przełożył Antoni Lange, z przedmową *J. A. Święcickiego.*

146, 147. Marya Rodziewiczówna. **Dewajtis.**

148. Józef Tokarzewicz (Hodi). **W dniach wojny i głodu**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

149, 150. Dr. Sven Hedin. **Przez pustynie Azyi**, w przekładzie Wiktora Doleżana, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.

151. Jonasz Lie. **Ideolog**, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.

152. T. T. Jeż. **Jaskółki.**

153. Wiktor Gomulicki. **Opowiadania o Starej Warszawie**, z ilustracyami.

154, 155. Karol Rais. **Patryoci z zakątka**, w przekładzie J. Kietlińskiej-Rudzkiej.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
120154

Biblioteka WSP Kielce
0158615